Keith Laumer

Greylorn

(Greylorn)

`

Amazing Science Fiction Stories", April 1959
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

PROLOG

Szmer rozmów wokół stołu konferencyjnego ucichł, gdy do pomieszczenia wszedł Sekretarz Świata i zajął swoje miejsce u szczytu stołu.

— Panie i panowie — powiedział. — Nie będę dzisiaj zajmował państwa czasu, formalnościami. Przedstawiciel Departamentu Marynarki Wojennej czeka na zewnątrz, aby przedstawić sprawę przygotowanej przez siebie propozycji. Wszyscy państwo wiecie coś o tym planie; został on przeanalizowany przez Grupę Doradczą i przekazany nam jako możliwy do wykonania. Podjęcie decyzji spada teraz na nasze barki. Proszę, aby każdy z państwa, formułując swoje konkluzje, pamiętał, że nasza obecna sytuacja może być określona wyłącznie jako rozpaczliwa, oraz że użycie rozpaczliwych środków może być niezbędne.

Sekretarz odwrócił się i skinął głową w stronę brodatego admirała siedzącego przy drzwiach, który opuścił salę i w chwilę później powrócił z młodym siwowłosym oficerem marynarki.

— Szanownie państwo, członkowie rady — powiedział admirał - oto komandor porucznik Greylorn.

Wszystkie oczy podążały za oficerem, kiedy przechodził przez pomieszczenie, aby zająć puste miejsce na końcu stołu.

— Proszę kontynuować, panie komandorze — poprosił Sekretarz.

— Dziękuję, panie sekretarzu — rozpoczął niespiesznie komandor.

Jego głos brzmiał spokojnie, ale słychać w nim było wyraźny i mocny ton autorytetu. Przeszedł od razu do rzeczy.

— Kiedy Rząd Światowy czterdzieści trzy lata temu wysłał Siły Zwiadowcze, podjęto próbę skontaktowania się z każdą z dwudziestu pięciu planet, na które rząd ten wysłał wyprawy kolonizacyjne w epoce kolonialnej w środkowych Wiekach Dwudziestych. Po powrocie ostatniego ze zwiadowców na początku tego roku, byliśmy zmuszeni przyjąć do wiadomości, że z tego źródła nie otrzymamy żadnej pomocy.

Komandor skierował wzrok na pokrywającą całą ścianę mapę świata. Z wyjątkiem terenu Ameryki Północnej i wąskiego pasa wód przybrzeżnych, cała mapa była zabarwiona brzydkim różowym kolorem.

— Najnowsze dane zebrane przez Departament Marynarki Wojennej wskazują, że tracimy teren w tempie jednej mili kwadratowej na dwadzieścia jeden godzin. Zdolność organizmu do rozwijania odporności na nasze środki chemiczne i biologiczne, wydaje się szybko ewoluować. Analizy próbek atmosferycznych wskazują na rosnący w stałym tempie poziom szkodliwej zawartości. Innymi słowy, pomimo naszych najlepszych starań, nie jesteśmy w stanie przeciwstawić się Czerwonemu Przypływowi.

Wokół stołu rozległ się pomruk, gdy członkowie poruszyli się z niepokojem na swoich miejscach.

— Wiele uwagi poświęcono problemowi zwiększania naszej zdolności ofensywnej. W końcu cała sprawa jest wciąż kwestią siły roboczej i surowców. Nie mamy wystarczających ilości tych zasobów. Nasze pewne niewielkie usprawnienia w zakresie efektywności są stopniowo niwelowane przez rosnące straty i zmniejszanie się terytorium. W końcu, pozostawieni samym sobie, musimy przegrać.

Komandor przerwał, gdy szmer nasilił się i zamarł ponownie.

— Istnieje jednak jeszcze jedna ciągle nie wykorzystana możliwość — powiedział. — Zaś ostatnie prace wykonane w Polarnej Stacji Badawczej plasują tę możliwość w zakresie możliwych do realizacji. W momencie, kiedy podjęto próbę nawiązania kontaktu z koloniami, jedną z nich pominięto. Ona jedna pozostaje jeszcze do odnalezienia. Mówię tutaj o Kolonii Omega.

Szacownie wyglądający Członek Rady pochylił się i wybuchnął:

— Lokalizacja tej kolonii jest przecież nieznana!

Zainterweniował Sekretarz:

— Proszę państwa, pozwólmy panu komandorowi dokończyć swoją wypowiedź. Kiedy skończy, będzie mnóstwo okazji do dyskusji.

— Nie podjęto próby kontaktu z nią, z dwóch powodów — kontynuował komandor. — Po pierwsze, nie była znana jej dokładna lokalizacja; po drugie, odległość do niej była co najmniej dwukrotnie większa niż do wcześniej założonych kolonii. W tamtym czasie panowała atmosfera optymizmu, który powodował, że taka próba wydawała się zbędna. Teraz sytuacja się zmieniła. Możliwość kontaktu z Kolonią Omega nabiera obecnie ogromnego znaczenia.

— Ostatnie prace, o których wspominałem, to nowe zastosowanie wykorzystywanej przez nas metody napędu, które dało nam znaczne podwyższenie prędkości efektywnej możliwej do osiągnięcia przez silniki statku kosmicznego. Czterdzieści lat temu minimalny czas trwania podróży w obie strony do przypuszczalnego sektora, w którym powinna leżeć Planeta Omega, wynosił około stulecia. Dzisiaj natomiast dysponujemy technologiami do budowy niewielkiego statku zwiadowczego, zdolnego do wykonania takiego lotu w czasie nieco ponad pięciu lat. Być może nie zdołamy przetrwać tutaj przez kolejne sto lat; ale powinniśmy wytrzymać dekadę.

— Jeśli chodzi o lokalizację, znamy początkowo zakładany punkt docelowy, do którego została wysłana Omega. Plan oczywiście polegał na tym, że załoga miała wybrać precyzyjnie swój cel, po dotarciu do wybranej grupy gwiazd na wystarczająco bliską odległość, aby planety znalazły się w zasięgu rozdzielczości teleskopów i można było je przebadać. Nie ma powodu, dla którego załoga statku zwiadowczego nie mogłaby przeprowadzić tych samych badań, przeanalizować możliwe cele, i przy odrobinie szczęścia odnaleźć kolonię.

— Omega była ostatnim przedsięwzięciem kolonialnym podejmowanym przez nasze społeczeństwo, dwa wieki później, po innych. Była to najlepiej wyposażona i największa wyprawa ze wszystkich. Nie była ograniczona do jednego miejsca przeznaczenia, w mało znanym regionie, ale miała przypuszczalnie duży wybór potencjalnych celów, z których mogła wybrać najlepszy; a jej narzędzia do badań planetarnych były bardzo zaawansowane. Mam znaczną pewność, że Omega udanie wylądowała na pionierskiej planecie i utworzyła nowe, energiczne społeczeństwo.

— Szanowni Członkowie Rady, zgłaszam propozycję aby wszystkie zasoby tego rządu zostały natychmiast oddane do dyspozycji grupy zadaniowej, której celem będzie zbudowanie statku zwiadowczego o masie pięćdziesięciu tysięcy ton oraz przeprowadzenie dokładnego przeglądu obszaru przestrzeni o rozmiarach tysiąca jednostek astronomicznych, wokół tzw. Skupiska Omega.

Sekretarz Świata przerwał gwar rozmów, który powstał po zakończeniu prezentacji przez oficera.

— Panie i panowie! Czas jest istotą naszego problemu. Przejdźmy więc od razu do uporządkowanej dyskusji. Panie Klayle, proszę ją rozpocząć.

Szacownie wyglądający Radny zmierzył komandora gniewnym spojrzeniem.

— Proponowane przez państwa przedsięwzięcie, będzie wymagało od nas ogromnego odciągnięcia środków od celów obronnych. Oznacza to utratę terenu w coraz szybszym tempie, na rzecz tego paskudztwa rozpełzającego się po naszej planecie. Ten sam potencjał zastosowany do bezpośrednich działań ofensywnych, może jeszcze przechylić równowagę na naszą korzyść. A w przeciwieństwie do tego, możliwość, że wyprawa zwiadowcza natknie się na pozostałości jakiejś kolonii, której lokalizacja jest niemal w pełni problematyczna i która patrząc przez analogię do wszystkich poprzednich prób kolonialnych, w najlepszym razie zdołała przetrwać jako jakiś niewiele znaczący przyczółek, jest tak fantastycznie mała, że należy całą sprawę traktować jako niewartą rozważenia.

Komandor słuchał chłodno, poważnie.

— Panie Radny — odparł — co do naszych środków obronnych, przekroczyliśmy już punkt malejących zysków. Mamy obecnie więcej wiedzy, niż jesteśmy w stanie wykorzystać aby przeciwstawić się tej pladze. Gdybyśmy nie zaniedbywali nauk fizycznych, tak jak to się działo przez poprzednie dwa stulecia, moglibyśmy opracować odpowiednie środki, zanim nasza liczebność i zajmowany obszar nie zostały zredukowane tak dalece, że nie jesteśmy w stanie wyprodukować i wykorzystywać nowej broni, którą nasze laboratoria opracowały z takim opóźnieniem. Obecnie musimy być więc realistami; ten kierunek działań nie oferuje nam żadnej nadziei.

— A co do lokalizacji Planety Omega, proponowany przez nas plan opiera się na fakcie, że jej wyboru nie dokonano w sposób losowy. Nasz statek zwiadowczy będzie podążał wzdłuż linii kursu wyprawy Omega

znanej nam z obserwacji, które były prowadzone przez prawie trzy lata po jej odlocie. Proponujemy podążać dalej tą linią, prowadząc systematyczną obserwację każdej potencjalnej gwiazdy, po kolei. Kiedy wykryjemy że posiada ona planety, zmienimy kurs tylko w razie potrzeby, aby upewnić się czy jest wśród nich odpowiednia. Możemy bezpiecznie założyć, że Omega nie pominęła żadnego prawdopodobnego celu. Jeśli w danym momencie będziemy musieli rozważyć więcej niż jedną perspektywę, zbadamy je kolejno. Jeśli Planeta Omega rozwinęła się pomyślnie, wystarczające dowody na to powinny być dostrzegalne z dużej odległości.

Klayle mruknął „Szaleństwo” i ustąpił. Radny po jego lewej ręce zapytał łagodnie:

— Panie Greylorn, przecież gdyby to kolonialne przedsięwzięcie spotkało się z wieszczonym przez pana sukcesem, to czyż jego rząd nie przywróciłby kontaktu ze światem macierzystym, w ciągu ostatnich dwóch stuleci?

— Na podstawie znanych faktów, panie Radny, możemy jedynie spekulować — zauważył komandor. — Podróż w tamtą stronę mogła potrwać nawet pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt lat. Po tym nastąpił długi okres rozwoju i ekspansji w budowaniu nowego świata. Nie należy się spodziewać, że przez jakiś czas, pionierzy będą gotowi wydatkować środki na przedsięwzięcia ekspedycyjne.

— Nie do końca rozumiem pańską widoczną wiarę w zdolność hipotetycznej cywilizacji Omegi do dostarczania nam jakiejś ogromnej pomocy, nawet jeśli mieszkający tam ludzie będą do tego skłonni — powiedziała radna o prostych, sztywnych plecach. — Czas jaki mieli do dyspozycji wydaje się bardzo krótki, jak na opanowanie obcej planety.

— Proszę pani, plan rozwoju populacji przewidywał wzrost z pierwotnych 10 000 kolonistów do około 40 000 w ciągu dwudziestu lat, po czym tempo wzrostu powinno oczywiście szybko rosnąć. Zakładając, że minęło sześćdziesiąt lat od lądowania na planecie, ludność powinna teraz liczyć ponad sto sześćdziesiąt milionów. Biorąc pod uwagę taką populację, wszystko inne wynika z niej bezpośrednio.

Dwie godziny później Sekretarz Świata podsumował.

— Panie i panowie, mamy przed sobą wszystkie fakty. Nadal istnieją pewne różnice w ich interpretacji, one jednak nie zostaną rozwiązane poprzez ciągłe ich powtarzanie. Wzywam więc obecnie do głosowania nad rezolucją zaproponowaną przez Radnego, reprezentanta wojska, i przedstawioną przez komandora Greylorna.

W sali obrad zapadła cisza, w czasie której głosy były rejestrowane i zliczane razem. Potem Sekretarz Świata delikatnie odetchnął.

— Panie komandorze — powiedział, — Rada zatwierdziła rezolucję. Jestem pewien, że będzie ogólna zgoda co do tego, aby to pan stanął na czele tego projektu, ponieważ był pan kierownikiem zespołu, który opracował nowy napęd, a także autorem całego planu. Życzę panu wszystkiego najlepszego.

Wstał i wyciągnął rękę.

Pierwsza płyta pod stępkę uzbrojonego statku kurierskiego *Galahad* została położona trzydzieści dwie godziny później.

ROZDZIAŁ 1

Spodziewałem się kłopotów, od razu kiedy wyszedłem z mostka. Napięcie, które narastało przez wiele ostatnich tygodni, dojrzało już do erupcji w formie przemocy. Kiedy szedłem korytarzem, statek był cichy. Dziwnie cichy, pomyślałem sobie; coś się kroiło.

Zatrzymałem się przed drzwiami swojej kajuty, nasłuchując; potem przyłożyłem ucho do ściany. Wyłapałem słabiuteńkie hałasy dochodzące ze środka; stłumione kliknięcie, jakieś głosy. Ktoś był w kajucie, ktoś kto próbował zachowywać się bardzo cicho. Nie byłem specjalnie zaskoczony. Prędzej czy później kłopoty musiały wypłynąć na wierzch. Popatrzyłem wzdłuż korytarza, mrocznego w zielonym blasku nocnych światełek. W zasięgu wzroku nie było widać nikogo.

Nasłuchiwałem. Słychać było trzy głosy, zbyt słabe, aby je zidentyfikować. Najmądrzejszą rzeczą, jaką powinienem teraz zrobić, to pójść z powrotem na mostek i rozkazać szefowi statkowej policji, aby oczyścił moją kajutę, ale intuicyjnie przeczuwałem, że to nie był właściwy sposób na poradzenie sobie z tą sytuacją. Znacznie uprościłoby to wszystko co mnie otaczało, gdyby udało mi się rozwiązać całą tę sprawę, czyniąc jak najmniej hałasu.

Nie było sensu czekać dłużej. Wyjąłem klucz i bezgłośnie umieściłem go w gnieździe. Kiedy drzwi się rozsunęły, szybko wszedłem do pomieszczenia. Kramer, oficer medyczny i Joyce, asystent ds. Komunikacji, stali niezdarnie, zaskoczeni. Fine, oficer zaopatrzeniowy leżał na mojej koi. Szybko usiadł.

Byli dobraną grupą. Dwóch z nich miało przy sobie broń boczną. Zastanawiałem się, czy byli gotowi z niej skorzystać, a nawet czy wiedzieli, jak daleko gotowi są aby się posunąć. Moim zadaniem było tak rozegrać sprawę, żeby się tego nie dowiedzieli.

Starałem się nie wyglądać na zdziwionego.

— Dobry wieczór, panowie — oznajmiłem wesoło. Podszedłem do barku z alkoholem, otworzyłem go, nalałem do szklaneczki szkockiej. — Przyłączycie się do mnie na drinka? — spytałem.

Żaden z nich mi nie odpowiedział. Usiadłem. Musiałem odrobinę wyprzedzać ich ruchy i utrzymując inicjatywę nie dawać im wrócić do równowagi. Liczyli na to, że usłyszą jak nadchodzę, będą mieli kilka chwil, żeby się ustawić, i wykorzystać moje zaskoczenie przeciwko mnie. Odwróciłem całą sytuację i przejąłem inicjatywę. Jak długo będę w stanie ją utrzymać, zależało od tego, jak dobrze zagram kilkoma posiadanymi atutami. Ruszyłem do boju, kiedy zobaczyłem, że Kramer bierze oddech i marszczy czoło, chcąc wykonać swój ruch.

— Ludzie potrzebują zmiany, przerwy w monotonii — powiedziałem. — Rozważałem szereg możliwości.

Mówiąc to, patrzyłem na Fine'a. Siedział sztywno na brzegu mojej koi. Już teraz żałował swej odwagi w działaniu związanym z wygniataniem łóżka kapitana.

— Dobrym ćwiczeniem może być wysłanie kilku żywych pocisków na losowe cele — powiedziałem. — Istnieje również możliwość przygotowania strzelnicy do broni ręcznej i przeszkolenia wszystkich marynarzy.

Przeniosłem wzrok na Kramera. Fine już żałował, że tutaj przyszedł, a Joyce nigdy nie przejmie inicjatywy; moim problemem był Kramer.

— Widzę, że ma pan swój Mark 9, majorze — powiedziałem, wyciągając rękę. — Czy mogę go zobaczyć?

Uśmiechałem się uprzejmie.

Miałem nadzieję, że uderzyłem go szybko i sprawnie, zanim zdążył się przystosować do sytuacji. Nawet dla twardego zawodnika, takiego jak Kramer, otwarte przeciwstawienie się swojemu dowódcy, wymagało przygotowania mentalnego. Szczególnie w niezobowiązującej rozmowie. Ale posiadanie broni było czymś więcej niż niezobowiązującą…

Spojrzałem na niego z uśmiechem, trzymając wyciągniętą do przodu dłoń. Nie był jeszcze gotów; wyciągnął pistolet z kabury i podał mi go.

Otworzyłem z trzaskiem komorę, spojrzałem na wskaźnik naładowania, sprawdziłem gotowość.

— Ładna broń — powiedziałem. Położyłem broń na otwartym barku po swojej prawej stronie.

Joyce otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Użyłem tego samego pewnego siebie, dziarskiego tonu, którego używam na mostku.

— Pozwól mi pan obejrzeć pański, panie poruczniku?

Zaczerwienił się, spojrzał na Kramera, a potem bez słowa podał mi pistolet. Wziąłem go, obróciłem w zamyśleniu, a potem wstałem, trzymając go niedbale za uchwyt.

— A teraz, jeśli panowie nie mają nic przeciwko temu, mamy parę rzeczy do załatwienia. — Już się nie uśmiechałem. Spojrzałem na Kramera pozbawionymi wyrazu oczyma. — Myślę, że w chwili obecnej lepiej będzie zachować poufny charakter naszej małej rozmowy. Myślę jednak również, że mogę panom w najbliższej przyszłości obiecać odrobinę akcji.

Wyszli, wyglądając tak głupio, jak trzech kaznodziejów złapanych podczas nalotu na burdel. Stałem bez ruchu, aż drzwi się zamknęły za nimi. Potem wypuściłem powietrze. Usiadłem i jednym pociągnięciem dokończyłem szkocką.

— Miałeś szczęście, mój drogi — powiedziałem głośno. — Trzech pozbawionych jaj cudaków.

Popatrzyłem na Marki 9 na stole. Wystrzał z każdego z nich spaliłby w tym zamkniętym pomieszczeniu całą naszą czwórkę. Wrzuciłem je do szuflady i załadowałem swojego Browninga 2 mm. Wiedziałem, że problemy jeszcze się nie zakończyły. Po tej farsie Kramer będzie musiał

wykonać kolejny ruch, aby odzyskać prestiż. Otworzyłem drzwi i zostawiłem je lekko uchylone. Potem pstryknąłem głównym przełącznikiem światła i wyciągnąłem się na łóżku. Położyłem igłowiec Browninga na małej półce w pobliżu swojej prawej dłoni.

Być może popełniłem błąd, rozmyślałem, rozluźniając formalną dyscyplinę w codziennych stosunkach na pokładzie statku, tak dalece jak to tylko było możliwe. W panujących warunkach wydawało się, że jest to najlepszy sposób postępowania w czasie tak długiego rejsu. Ale teraz miałem na głowie kryzys morale, który groził wybuchem buntu przy pierwszej pomyłce z mojej strony.

Wiedziałem, że to Kramer jest źródłem kłopotów. Był moim starszym oficerem sztabowym i wziął na swoje barki większą część obciążeń w Mesie Oficerskiej. Jako lekarz znał większość załogi lepiej niż ja. Wydawało mi się, że znam motywy kierujące Kramerem. Zawsze miał wielkie powodzenie u kobiet. Kiedy zgłosił się na ochotnika na tę misję, niewątpliwie wyobrażał sobie siebie jako przykład romantycznego bohatera, wyruszającego na szlachetne, choć beznadziejne poszukiwania. Teraz, po czterech latach spędzonych w kosmosie, zaczynał zdawać sobie sprawę z faktu, że nie robi się coraz młodszy, i że w najlepszym razie spędzi dekadę swoich najlepszych lat w klasztornym odosobnieniu. Chciał natychmiast wracać i ocalić to, co się jeszcze dało.

Niesamowite było dla mnie, że ta ruchawka mogła zyskać zwolenników, ale musiałem zmierzyć się z faktem; moja załoga, prawie co do jednego, zrezygnowała z poszukiwań zanim jeszcze się na dobre rozpoczęły. Pierwsze pogłoski dotarły do moich uszu zaledwie parę tygodni wcześniej, ale idea ta rozprzestrzeniła się po załodze jak pożar. Teraz nie mogłem sobie już pozwolić na drastyczne działania ani ryzykować wywołania wybuchu, poprzez aresztowanie przywódców. Musiałem uspokoić sytuację, używając lekkiej ręki i mając nadzieję na dobre wieści z sekcji badawczej. Prawdopodobne odnalezienie kolonii byłoby dla nas ratunkiem.

Nadal były wszelkie powody aby mieć nadzieje na sukces w naszych poszukiwaniach. Do tej pory wszystko szło zgodnie z planem. Podążaliśmy trasą Omegi tak daleko, jak była ona znana, a potem ruszyliśmy dalej, badając położone przed nami gwiazdy, w poszukiwaniu oznak istnienia planet. Pierwsze z nich odnaleźliśmy na początku czwartego roku podróży. Od tamtej chwili minął długi żmudny czas, poświęcony nauce i obserwacjom, eliminowaniu jednej planety po drugiej, jako zbyt masywnych, zbyt zimnych, zbyt blisko fazy rozpalonego zalążka, zbyt małych, aby utrzymać atmosferę. W sumie odkryliśmy dwanaście planet, wokół czterech gwiazd. Tylko jedna wyglądała na tyle dobrze, aby warto było przyjrzeć jej się z bliska. Podeszliśmy na zasięg televideo, zanim zdaliśmy sobie sprawę, że jest to planeta całkowicie pokryta morzem.

Obecnie mieliśmy w zasięgu sześciu miesięcy lotu pięć nowych gwiazd ciągu głównego. W każdej chwili miałem nadzieję na potwierdzenie odkrycia planet. W chwili obecnej powrót na Ziemię, która związała swoje ostatnie nadzieje z naszym sukcesem, był nie do pomyślenia, ale taki właśnie był plan Kramera i jego zwolenników. Nie będą w stanie go

zrealizować, dopóki ja pozostawałem przy życiu. A jednak mój plan nie polegał również na doprowadzeniu do naszej porażki, poprzez moje męczeństwo. Zamierzałem pozostać przy życiu i odnieść sukces. Drzemałem czujnie i czekałem.

Obudziłem się, kiedy próbowali otworzyć drzwi. Odchyliły się o kilka cali przy pierwszym dotknięciu tego, który spróbował to zrobić, nie spodziewając się że były odblokowane. Były teraz na wpół uchylone, blade światło z korytarza lśniło na podłodze. Nikt nie wchodził. Kramer ciągle się ociągał, niepewny siebie. Po niespodziance, jaką mu sprezentowałem, był sparaliżowany, spodziewając się pułapki. Kilka minut upłynęło w pełnej napięcia ciszy; potem drzwi zaczęły otwierać się szerzej.

— Będę zmuszony zabić pierwszego człowieka, który wejdzie do tego pomieszczenia — oznajmiłem równym głosem. Nie wyciągnąłem broni.

Usłyszałem pośpieszne szepty w korytarzu. Potem czyjaś ręka wyłoniła się zza osłony drzwi i włączyła światło.

Nic się nie stało, ponieważ wyłączyłem je głównym przełącznikiem. Była to tylko niewielka przeszkoda, ale miała rujnujący efekt na pośpieszny plan akcji, który sobie przygotowali. Ci ludzie zostali pchnięci do działania przez Kramera, bez dobrze przemyślanego planu. Niemalże nie mieli pojęcia, jak przeciwstawić się prawowitej władzy.

Zawołałem:

— Sugeruję, żebyście skończyli teraz z tymi nonsensami i wrócili do swoich kwater, panowie. Jak do tej pory, nie wiem nawet, kto jest w to zaangażowany. Jeśli teraz odejdziecie w spokoju, zanim popełnicie poważną pomyłkę, możecie z tego wyjść z czystym kontem.

Miałem nadzieję, że to poskutkuje. Ta mała przygoda, aczkolwiek nieudana, mogła posłużyć do upuszczania pary wśród załogi. Ludzie mieliby o czym rozmawiać przez kilka bezcennych dni. Wziąłem do ręki igłowiec i czekałem. Gdyby blef się nie powiódł, musiałbym kogoś zabić.

Gdzieś z daleka usłyszałem metaliczny stukot. W chwilę później wstrząs zastukał przedmiotami na półce, a kilka sekund później nastąpiły mocniejsze szarpnięcia. Z mojego biurka zsunęły się papiery, z szelestem rozsypały się po podłodze. Butelka whisky przewróciła się, przetoczyła się do przeciwległej ściany. Zakręciło mi się w głowie, bo moja prycza zdawała się pode mną przechylać. Sięgnąłem do klawisza interkomu i wcisnąłem go.

— Taylor — powiedziałem, — tu mówi kapitan. Co się dzieje?

Nastąpiła chwila opóźnienia, zanim nadeszła odpowiedź.

— Panie kapitanie, dostaliśmy uderzenie meteoru w rufę, najwyraźniej to jakieś ciało metaliczne. Musiał uderzyć w nas dosyć potężnie, ponieważ spowodował obrót statku. Wezwałem tam właśnie Kontrolę Uszkodzeń.

— Dobra robota, Taylor — odparłem. Wprowadziłem kod do Magazynów; obiekt musiał uderzyć właśnie mniej więcej tam. — Tu kaptan — powiedziałem. — Jakieś zniszczenia?

Odebrałem szumy w tle, a potem zgrzyt zbyt blisko przysuniętego do ust mikrofonu.

— Uch, p'nie k'tanie, mamy tu dziurę w rufowej grodzi. Zatkałem ją poduszką z fotela. Jezu, to mogło kogoś zabić.

Wyłączyłem interkom i ruszyłem biegiem na rufę. Moi goście ulotnili się. W przejściu było pełno ludzi, kotłowali się, wykrzykiwali pytania. Biegnąc włączyłem swój mikrofon.

— Taylor, rozkaż wszystkim członkom załogi, aby udali się na stanowiska alarmowe.

Biegło się trudno, ponieważ podłogi ustawiły się pod pozornym przechyłem. Niezamocowany sprzęt przetaczał się i ześlizgiwał pod nogami, popychany do przodu siłą odśrodkową. Od strony rufy za magazynami usłyszałem gwizd uciekającego powietrza i gazów buchających pod wysokim ciśnieniem z pękniętych przewodów. Chmury oparów zaciemniały powietrze. Zażądałem reflektorów dla całego sektora.

Clay wyłonił się z mgły wraz ze swoją ekipą kontroli uszkodzeń.

— Panie kapitanie — zameldował, — mamy przebite wewnętrzne i zewnętrzne poszycie w dwóch miejscach, a odłamki podziurawiły cały sektor. Co najmniej trzech ludzi nie żyje, a dwóch jest rannych.

— Taylor — zawołałem, — przyślij mi tutaj biegiem kolejny zespół kontroli uszkodzeń. Sprowadź też medyków.

Clay i jego ludzie założyli maski i odeszli. Pożyczyłem maskę również dla siebie od człowieka stojącego obok i podążyłem za nimi. Duża dziura wylotowa znajdowała się w przedniej śluzie ładunkowej. Pomieszczenie zostało zamknięte, aby ograniczyć straty powietrza.

— Clay — powiedziałem, — zostaw to na razie i uszczelnij otwór wlotowy. Przyślę dodatkową ekipę w skafandrach, żeby się tym zajęła.

Wróciłem do strefy czystego powietrza i zażądałem raportów ze wszystkich sekcji. Najgorsze uszkodzenia były w pomieszczeniu pomocniczej kontroli mocy, gdzie zostały przerwane linie komunikacyjne i energetyczne, a panel kontrolny rozbity na kawałki. Niebezpieczeństwo poważnego uszkodzenia krytycznie istotnych systemów, było bardzo bliskie, ale mieliśmy szczęście. To pierwszy przypadek o jakim słyszałem, związany z napotkaniem obiektu przy prędkości nadświetlnej.

Zadziwiające było, jak to zagrożenie naszego bezpieczeństwa oczyściło atmosferę. Ludzie chodzili wokół swoich obowiązków z większą energią niż przez wiele ostatnich miesięcy, a Kramer zaczął się wyraźnie wyróżniać, z powodu ogarniającego go uczucia przygnębienia. Zagrożenie przywróciło, przynajmniej na pewien czas, normalną dyscyplinę; w kłopotach, ludzie ciągle polegali na kapitanie.

Ekipy kontroli uszkodzeń pracowały bez przerwy przez następne siedemdziesiąt dwie godziny, zastępując okablowanie, spawając i testując. Sekcja Zasilania nieustannie walczyła, korygując ruchy powietrza. W

międzyczasie, niemalże co godzinę kontaktowałem się z Sekcją Badawczą, mając nadzieję na dobre wieści, które pozwoliłyby na wykrystalizowanie się lepszej sytuacji w zakresie morale.

Była to niedziela, zaraz po porannej zmianie wachty, kiedy na mostek przyszedł porucznik Taylor, wyglądając jakby z trudem powstrzymywał mdłości.

— Panie kapitanie — zameldował — na skutek uderzenia tego meteoru odnieśliśmy poważniejsze uszkodzenia, niż się do tej pory wydawało. — Urwał i z trudem przełknął ślinę.

— Co pan tam ma, panie poruczniku? — spytałem.

— Przegapiliśmy jeden odłamek. Musiał przejść po stycznej przez magazyny i uderzyć w chłodnię. Przeciął przewód płynu chłodzącego i wpuścił do środka ciepłe powietrze. Wszystkie zamrożone rzeczy są zepsute i zgniłe. — Zakrztusił się. — Musiałem to wąchać. Przepraszam, panie kapitanie. — Wybiegł z pośpiechem.

To było prawdziwe nieszczęście.

Nie polegaliśmy za bardzo na świeżej naturalnej żywności, ale to co było na pokładzie, miało olbrzymie znaczenie. Był to duży objętościowo, delikatny ładunek, trudny do przechowywania, ale chemicy nie wymyślili jeszcze syntetycznych materiałów, które by zaspokoiły wszystkie potrzeby żywnościowe człowieka. Mogliśmy przez długi czas całkiem nieźle przetrwać na tabletkach witaminowych i koncentratach; ale były pierwiastki odżywcze, których nie dało się pozyskać w ten sposób. Hydroponika nic tutaj nie dawała; musieliśmy co tydzień zjadać po parę uncji świeżego mięsa i warzyw, które rozwijały się w promieniach słońca, albo w ciągu kilku miesięcy zaczniemy umierać.

Wiedziałem, że Kramer nie przegapi takiej szansy. Jako oficer medyczny miał pełne prawo zwrócić mi uwagę, że nasze zdrowie wkrótce zacznie cierpieć. Byłem pewien, że zrobi to w najbardziej głośny i publiczny sposób, przy pierwszej możliwej okazji.

Najlepszym posunięciem jakie mi pozostało, było przebicie go przez ogólne wystąpienie do załogi, w którym przedstawię fakty w stosunkowo najlepszym świetle. To może stępić trochę ostrze wszystkiego, co Kramer powie później.

Przekazałem im to krótko i treściwie.

— Panowie, właśnie doznaliśmy poważnej straty. Wszystkie świeże mrożone zapasy zostały zniszczone. Nie znaczy to, że będziemy lecieć dalej na okrojonych racjach żywnościowych; na pokładzie jest mnóstwo koncentratów i witamin. Ale oznacza to, że będziemy cierpieć na niedobory w naszej diecie.

— Nie jesteśmy tu jednak dla przyjemności; wykonujemy misję, która nie pozostawia miejsca na niepowodzenie. To dla nas po prostu kolejny fakt, któremu musimy stawić czoło. A teraz, wróćmy do naszej pracy.

Wszedłem do mesy oficerskiej, nalałem sobie filiżankę kawy i usiadłem. Na ekranie widać było plażę z rozbijającą się na niej falą.

Ścieżka dźwiękowa przekazywała huk przyboju i syk piany. Biorąc pod uwagę czerwone paskudztwo, które teraz pokryło cały widoczny teren, pomyślałem sobie że to kiepski wybór. Połączyłem się z obsługą i poprosiłem o zmianę na widok szerokich pofałdowanych pól.

Przy stole po drugiej stronie pomieszczenia byli Mannion z Kirschenbaumem. Siedzieli zgarbieni nad kubkami, nie rozmawiając. Zastanawiałem się, co z nimi. Mannion, oficer łączności, był odrobinę neurotykiem, ale był to stary żołnierz z Sił Zbrojnych. Dyscyplina znaczyła dla niego wiele. Kirschenbaum, szef Sekcji Zasilania, grał żartownisia, lecz miał zimne oczy i był mądrzejszy niż się wydawało. Pytanie brzmiało, czy był na tyle sprytny, by idealizować teraz głupi pomysł odwrotu.

Do środka wszedł Kramer, nie tracąc czasu. Zobaczył mnie i podszedł. Zatrzymał się kilka stóp od stolika i powiedział głośno:

— Panie kapitanie, chciałbym poznać pańskie plany, teraz, kiedy możliwość dalszego lotu stała się nierealna.

Popijałem kawę i patrzyłem na pofałdowane pola. Nie odpowiedziałem mu. Gdyby udało mi się doprowadzić go do wściekłości, mógłbym pokonać go w jego grze.

Kramer zrobił się czerwony. Nie lubił być ignorowany. Siedząca przy drugim stole dwójka ludzi przyglądała się nam.

— Panie kapitanie — oznajmił głośno Kramer. — Jako oficer medyczny muszę wiedzieć, jakie środki pan podejmie, aby chronić zdrowie ludzi.

To poprawiało już nieco sytuację. Znalazł się teraz w defensywie; wyjaśniał, dlaczego miał prawo kwestionować rozkazy swojego dowódcy. Chciałem jednak, żeby jeszcze trochę się zagrzał.

Spojrzałem na niego.

— Panie Kramer — oświadczyłem czystym, niezbyt donośnym głosem: — Jest pan na wachcie. Nie życzę sobie, żeby kręcił się pan po mesie prowadząc luźne pogawędki, dopóki nie zostanie pan we właściwy sposób zluzowany ze służby.

Wróciłem do swojej kawy i pól uprawnych. Teraz na ekranie widać było rzekę, a za nią dalekie góry.

Kramer wpadł we wściekłość.

— Joyce mnie zmienił, panie kapitanie — powiedział, z wysiłkiem kontrolując swój głos. — Uznałem, że lepiej będzie omówić tę sprawę z panem najszybciej jak to możliwe, ponieważ ma ona wpływ na zdrowie każdego człowieka na pokładzie.

Starał się zachować spokój i panowanie nad sobą.

— Nie autoryzowałem żadnych zmian w grafiku służb, panie majorze — powiedziałem łagodnie. — Proszę udać się na swoje stanowisko.

Bazowałem teraz na nawyku dyscypliny, na tyle na ile mogłem. Miałem nadzieję, że bezpośrednie wykroczenie przeciwko porządkowi, solidnie oparte na przepisach, było w tym momencie dla Kramera zbyt dużym skokiem. Jutro, może być już inaczej. Ale najważniejsze było, aby przerwać scenę, którą odgrywał.

Opadł.

— Zobaczymy się o 17.00 w pomieszczeniu map, panie Kramer — powiedziałem, kiedy się odwrócił.

Mannion i Kirschenbaum spojrzeli na siebie, po czym pospiesznie dokończyli swoje kawy i wyszli. Miałem nadzieję, że ich wersja incydentu pomoże osłabić pozycję Kramera wśród malkontentów.

Wyszedłem z mesy i podjechałem windą w górę na mostek. Sprawdziłem Claya i jego zespół badawczy.

— Myślę, że zauważyłem niewielkie zaburzenie dla Delta 3, panie kapitanie — zameldował Clay. — Ale nie jestem pewien, wciąż jesteśmy dosyć daleko.

— W porządku, panie Clay — powiedziałem. — Proszę zajmować się tym dalej.

Clay był jednym z moich bardziej niezawodnych ludzi, oddanym swojej pracy. Niestety, nie był człowiekiem czynu. Miałby niewielki wpływ na sytuację.

Podszedłem właśnie do Schmidta, kiedy usłyszałem, że otwiera się winda. Odwróciłem się; Kramer, Fine, Taylor i kilku przywódców załogi tłoczyli się razem w wejściu. Wszyscy mieli przy sobie igłowce. Przynajmniej tyle się nauczyli, pomyślałem sobie.

Kramer ruszył do przodu.

— Uważamy, że kwestia zdrowia ludzi musi zostać rozwiązana od razu, panie kapitanie — oznajmił gładko.

Popatrzyłem na niego chłodno, spojrzałem na resztę jego ludzi. Nic nie powiedziałem.

— Sytuacja z którą mamy do czynienia jest dosyć ponura, nawet jeśli zawrócimy już teraz. Nie mogę być odpowiedzialny za skutki, jeżeli pojawi się jakieś opóźnienie — mówił dalej Kramer. Przemawiał aroganckim tonem. Popatrzyłem po nich po kolei, niech moje milczenie zbuduje nastrój.

— To pan dowodzi tą menażerią? — powiedziałem w końcu, patrząc na Kramera. — Jeśli tak, ma pan trzydzieści sekund na odesłanie ich z powrotem do budy. Sprawą obecności nieupoważnionego personelu na mostku zajmiemy się później. Co do pana, panie majorze, może się pan uważać za aresztowanego i udać się do swojej kwatery. A teraz *precz*.

Kramer gotów był stawić mi czoła, ale Fine powstrzymał go na chwilę, pociągając za rękaw. Kramer wyrwał się mu, warcząc z wściekłości. W tym momencie przywódcy załogi zniknęli z powrotem we wnętrzu windy. Fine i Taylor zawahali się, po czym dołączyli do nich. Kramer zaczął za nimi krzyczeć, a potem się opanował. Winda ruszyła na dół.

Kramer zastanawiał się, czy nie chwycić za swój igłowiec. Popatrzyłem na niego przez zmrużone oczy. Postanowił polegać na swojej gębie, jak zwykle. Oblizał wargi.

— No dobrze, jestem aresztowany — powiedział. — Ale jako oficer medyczny tego statku mam obowiązek przypomnieć panu, że nie można żyć bez pewnego minimum świeżej żywności organicznej. Musimy natychmiast zawrócić.

Był blady, ale zdecydowany. Nie mógł znieść myśli, że zrobi się łysy i utraci zęby z powodu niedoborów diety. Dziewczyny już nigdy nie spojrzałyby na niego po raz drugi.

— Lecimy dalej, Kramer — oznajmiłem. — Dopóki mamy na pokładzie choćby jednego człowieka, który wciąż może się ruszać. Z zębami lub bez zębów.

— Choroba niedoboru to nie żart, panie kapitanie — odparł Kramer. — Już przy braku tylko kilku niezbędnych pierwiastków żywnościowych, mogą się pojawić wszystkie objawy trądu, raka i syfilisu. A nam brakuje większości z nich.

— Przekazanie mi swoich opinii to jedna sprawa, panie Kramer — zauważyłem. — Bunt, to zupełnie odmienna.

Clay stał obok głównego ekranu z szeroko otwartymi oczami. Nie mogłem odesłać Kramera pod jego strażą.

— Chodźmy, panie Kramer — powiedziałem. — Sam pana zamknę.

Zjechaliśmy windą. Kiedy wychodziliśmy na korytarz, ludzie którzy byli z Kramerem stali niezgrabnie, milcząc. Dostrzegłem wśród nich dwóch chronicznych rozrabiaków. Pomyślałem, że równie dobrze mogę zawołać ich teraz, jak później.

— Williams i Nagle — powiedziałem — ten oficer jest aresztowany. Odprowadźcie go do jego kwatery i zamknijcie.

Kiedy z wahaniem zrobili krok do przodu, Kramer powiedział:

— Zabierzcie ode mnie te swoje brudne łapska.

Ruszył korytarzem.

Gdyby udało mi się odesłać Kramera, zanim pojawią się jakiekolwiek kłopoty, mógłbym się jakoś wyłgać z tego wszystkiego. Poszedłem za nim i jego dwoma psami łańcuchowymi, przechodząc koło sekcji zasilania i mesy. Miałem nadzieję, że nie będzie tam tłumu, który zobaczy swojego bohatera, Kramera, pod strażą.

Nie miałem szczęścia. Najwyraźniej wieści o aresztowaniu Kramera już się rozeszły, a korytarz był wypełniony ludźmi. Kiedy się zbliżyliśmy, stali bez ruchu. Kramer zatrzymał się.

— Zrobić przejście — powiedziałem.

Powoli zaczęli się cofać, niechętnie oddając teren.

Nagle Kramer krzyknął:

— Tak, dobrze, wy jęczydusze i narzekacze, zróbcie przejście, żeby kapitan mógł mnie zabrać na pokład rakietowy i tam zastrzelić. Chcecie tylko gadać o powrocie do domu; nie macie odwagi, żeby coś z tym zrobić.

Poruszająca się masa zatrzymała się, stłoczona. Ktoś krzyknął:

— A co on sobie u licha myśli, że kim jest!

Kramer odwrócił się do mnie.

— On myśli, że jest człowiekiem, który pozwoli nam wszystkim zgnić żywcem, żeby tylko zachować czystą kartotekę!

— Williams, Nagle — powiedziałem głośno, — oczyścić ten korytarz.

Williams zaczął bez wielkiego entuzjazmu wpychać się pomiędzy najbliżej stojących ludzi. Mignęła czyjaś pięść i uderzyła go od tyłu w głowę. To był błąd; Williams wyciągnął swój igłowiec i wystrzelił rykoszetem wzdłuż korytarza.

— Wy bando tchórzliwych gnojków, jazda mi z drogi! — wrzasnął. — Przechodzę!

Nagle podszedł do Williamsa i krzyknął coś do niego. Jego słowa utonęły w hałasie. Kramer odwrócił się do mnie, szaleńczo próbując odzyskać władzę nad tłumem.

— Kiedy kapitan usunie mnie z drogi, zacznie się ogólna czystka! — zaryczał.

Zgiełk zamarł, kiedy ludzie odwrócili się, aby go lepiej słyszeć.

— Wszyscy jesteście wyznaczeni. On oszalał. Nie pozwoli żeby ktokolwiek z was przeżył. — Kramer zdołał teraz skupić ich uwagę. — Bierzcie go, teraz! — krzyknął i złapał mnie za ramię, żeby rozpocząć akcję.

Odrobinę się pośpieszył. Walnąłem go w twarz wierzchem dłoni. Nikt mu nie skoczył na pomoc. Wyciągnąłem swoją dwumilimetrówkę.

— Jeżeli jeszcze raz podniesiesz rękę na swojego przełożonego, spalę cię na miejscu, Kramer.

Wtedy zza moich pleców doleciał do mnie głos:

— Nikogo pan nie zabije bez procesu, panie kapitanie — stał tam Joyce z dwoma prowodyrami z załogi, z igłowcem w dłoni. Fine'a i Taylora nie było nigdzie widać.

Odepchnąłem Kramera z drogi i podszedłem do Joyce'a.

— Oddaj mi tę broń, młodzieńcze, kolbą do przodu — powiedziałem. Popatrzyłem mu w oczy, z całą pewnością siebie, jaką byłem w stanie z siebie wykrzesać. Odsunął się krok do tyłu.

— Dlaczego go nie złapiecie — zawołał do tłumu.

Głośnik na ścianie zabuczał i przemówił.

— Kapitan Greylorn proszony jest o zgłoszenie się na mostek. Niezidentyfikowane ciało na głównym teleskopie.

Wszyscy ludzie zatrzymali się, słuchając. Głośnik mówił dalej.

— Wygląda na to, że zwalnia, panie kapitanie.

Schowałem pistolet, przepchnąłem się obok Joyce'a i ruszyłem do windy. Tłum za mną rozsypał się, pełen gwaru, w miarę jak ludzie kierując się wytrenowanymi nawykami rozbiegali się na swoje stanowiska.

Clay pomimo presji działał spokojnie. Siedział przy głównym ekranie i przyjrzał się radarowemu echu, nanosząc małe oznaczenia ołówkiem.

— Panie kapitanie, jest jeszcze za daleko, aby uzyskać jego wiarygodną trajektorię na skanerze — powiedział — ale jestem pewien, że hamuje.

Jeśli to była prawda, to może mieliśmy ten przełom na który wszyscy czekali. W dalekim kosmosie, tylko obiekty obsadzone załogą i sterowane, mogły hamować.

— Jak pan go zauważył, Clay? — spytałem. Wyłapanie tak malutkiej masy było delikatną robotą nawet jeśli znało się jej współrzędne.

— Po prostu przypadkiem przyciągnął mój wzrok — odparł. — Zawsze na każdej wachcie, robię ogólne sprawdzenie całego kwadrantu przed nami. Zauważyłem puls na radarze, którego nie pamiętałem, abym widział wcześniej.

— Ma pan niezłe oko, Clay — stwierdziłem. — Co pan myśli o złapaniu tego obiektu wiązką?

— Właśnie próbujemy to zrobić, panie kapitanie — zameldował. — Ale to strasznie małe pole.

Joyce zwołał od pulpitu radarowego:

— Wydaje mi się, że odbieram echo na 15 000, panie kapitanie. Jest dosyć słabe.

Miller, spokojny i drobiazgowy, delikatnie dostrajał sterowanie wiązką.

— Daj mi swój namiar, Joyce — powiedział. — Nie mogę go znaleźć.

Joyce podał mu swoje liczby, w sekundach łuku do trzech miejsc po przecinku.

— Masz rację, Joyce — zawołał minutę później Miller. — Mam to. Teraz módlcie się, żeby mi nie uciekł, kiedy będę wzmacniał wiązkę.

Clay podszedł i stanął za Millerem.

— Rób to zmieniając powiększenie parę jednostek na raz — powiedział spokojnie.

Obserwowałem ekran Millera. Maleńki punkt w pobliżu środka ekranu powiększył się do rozmiarów plamki i prawie wyskoczył z ekranu w lewą stronę. Miller ponownie go wycentrował i przełączył się na jeszcze większą moc. Tym razem skoczył słabiej i zmienił się w dwie małe kropki.

Krok po kroku powiększenie rosło, gdy włączane były kolejne pierścienie wzmacniacza anteny obiektywu. Za każdym razem operacja centrowania stawała się coraz bardziej delikatna. Obraz rósł, aż w końcu wypełnił jedną czwartą ekranu. Patrzyliśmy na niego z fascynacją.

Na ekranie, w elektronicznym „świetle” teleskopu radarowego, pojawiła się surowa sylwetka. Dwa idealne dyski połączone cienkimi włóknami. Kiedy je obserwowaliśmy, ich względne pozycje powoli się zmieniały, jeden przesuwał się przed drugim, na wpół go przesłaniając.

Kiedy obraz uciekał na bok, Miller z pieczołowitą uwagą walczył przy swojej konsoli, aby utrzymać go na środku, przy odpowiedniej ostrości.

— Chciałbym, żebyś mi podał orbitę tego czegoś, Joyce — powiedział. — Mógłbym się wtedy uczepić tego na stałe.

— Człowieku, to nie ma żadnej orbity — odparł Joyce. — Śledzę to, ale nie rozumiem co się dzieje. Ta skała jest na krzywej zbliżeniowej do nas i szybko zwalnia.

— Jaka jest prędkość, panie Joyce? — zapytałem.

— Uśredniając, około 1000 względem nas, panie kapitanie, ale szybko maleje.

— Dobrze, utrzymujemy nasz kurs — rozkazałem.

Wcisnąłem klawisz komunikatu ogólnego.

— Tu mówi kapitan — ogłosiłem. — Polecenie dla wszystkich. Obsadzić stanowiska działania i przygotować się na możliwy kontakt w ciągu jednej godziny.

— Sekcja rakietowa. Uzbroić baterię nr 1 i czekać w gotowości.

Potem dodałem jeszcze:

— Nie wiemy jeszcze, co tutaj mamy, ale to nie jest obiekt naturalny. Może to być wszystko od torpedy w górę.

Wróciłem do ekranu Wiązki. Obraz był wyraźny, ale nadal bez żadnych szczegółów. Oba dyski powoli się rozsunęły, a następnie ponownie się zbliżyły.

— Domyślam się, że ten ruch spowodowany jest obrotem dwóch sfer wokół wspólnego — środka stwierdził Clay.

— Zgadzam się z panem — potwierdziłem. — Proszę spróbować odczytać masę obiektu

Zastanawiałem się, czy Kramer został zamknięty tak, jak rozkazałem, ale w tej chwili wydawało się to nieistotne. Jeśli nawiązaliśmy, jak miałem nadzieję, kontakt z naszą kolonią, wszystkie nasze kłopoty się skończyły.

Obiekt (ciągle wahałem się nazwać go statkiem) zbliżał się stopniowo, wciąż zwalniając. Teraz Clay złapał go również na televideo, w miarę jak zmienił kurs na równoległy do naszego toru, w odległości czterech tysięcy pięciuset mil od nas.

— Panie kapitanie, szacuję, że obiekt, przy swoim obecnym tempie zwalniania, dostosuje swoją prędkość do naszej za około 200 mil — oznajmił Clay.

— Proszę trzymać na nim wszystko co pan ma i uważnie wypatrywać czegokolwiek, co może być pociskiem — rozkazałem.

Clay pracował nad stołem z mapami. W końcu zwrócił się do mnie.

— Panie kapitanie, z obliczeń wychodzi mi masa ponad stu milionów ton; a kalibrowanie obrazów teleskopu daje nam długość prawie dwóch mil.

Pozwoliłem, aby jego słowa przebrzmiały. Miałam silne i bardzo konkretne przeczucie, że ten statek, jeśli to był statek, nie był wysłannikiem żadnej ludzkiej kolonii.

Głośnik zaszumiał i oznajmił:

— Panie kapitanie, odbieram transmisję na bardzo krótkich falach z punktu od dziobu na sterburcie. Czy to może być ta pańska torpeda?

To był Mannion.

— Zgadza się, panie Mannion — potwierdziłem. — Czy może pan coś z tego wyciągnąć?

— Nie, panie kapitanie — odparł. — Ale wszystko nagrywam, więc będę mógł nad tym popracować.

Mannion był naszym specjalistą od języków i szyfrów. Miałem nadzieję, że był dobry.

— Jak to brzmi? — zapytałem. — Proszę mnie podłączyć.

Po chwili z głośnika dobiegł głośny szum. Usłyszałem przebijające się przez niego jakby jakieś ostre szarpane spółgłoski, wygłaszane z jękliwą intonacją. Wątpiłem, czy Mannion będzie w stanie wydobyć coś z tego gulgotania.

Nasz intruz stale się zbliżał. Na czterystu dwudziestu pięciu milach zmienił względne wektory swojego ruchu i dostosował prędkość do naszej, zbliżając się nieustannie do toru naszego lotu. Nie było wątpliwości, że ma zamiar ustawić się równolegle do nas.

Wygłosiłem krótkie obwieszczenie do wszystkich członków załogi, opisujące stan działań. Clay pracował nad televideo, próbując oczyścić obraz z zakłóceń. Obserwowałem, jak plamka na ekranie pęcznieje i migocze. Nagle zamieniła się w wyraźny, jasny obraz. Na tle połyskującej iskierkami czerni nieba lekko zalśniły odbitym światłem gwiazd dwie bliźniacze kule.

Nie widać było żadnych wyróżniających się cech charakterystycznych powierzchni; ich kształty w kolorze jodu oraz łączący je wał, miały antyczny i obcy wygląd.

Przez cały czas trzymaliśmy nasz kurs, obserwując manewr obcego. Nawet z takiej odległości wyglądał na ogromnego.

— Panie kapitanie — oznajmił Clay — wykonałem trochę wstępnych obliczeń. Te dwie kule mają średnicę około 800 jardów, a w tempie, w jakim cała konstrukcja się obraca, siła ciążenia osiąga około sześciu g.

To rozstrzygało kwestię ludzkiego pochodzenia statku. Żadna ludzka załoga nie zdecydowałaby się na pracę w warunkach sześciu „gie”.

Teraz, ustawiwszy się w pozycji równoległej do naszej, w odległości nieco ponad dwustu mil, gigantyczny statek odrobinę skorygował swój kurs tak aby utrzymywać się w stosunku do nas w spoczynku. Obecnie widać go już było bezpośrednio przez panel obserwacyjny, bez żadnego powiększenia.

Zostawiłem Claya na mostku, jako dowodzącego, i zszedłem do sekcji Łączności.

Joyce siedział przy swoim pulpicie, odczytując przyrządy i przestawiając kontrolki. A więc w końcu wziął się do pracy. Mannion siedział z głową pochyloną, monitorując swój rejestrator. Pokój wypełniony był przenikliwym staccato przekazu obcych.

— Mamy coś na wideo? — spytałem.

Joyce pokręcił głową.

— Nic, panie kapitanie. Sprawdzałem całe spektrum i to wszystko, co udało mi się wychwycić. Sygnał dochodzi do nas na mniej więcej tuzinie częstotliwości; nic na FM.

— Jakieś postępy, panie Mannion?

Zdjął słuchawki z uszu.

— Odbieramy przez cały czas ten sam sygnał, powtarzany bez przerwy w kółko, po prostu jakiś krótki komunikat. Może miałbym więcej szczęścia, gdyby cokolwiek w nim zmieniali, chociaż odrobinę.

— Może spróbować coś do nich nadać? — zaproponowałem.

Joyce przykręcił całe to łupanie, zmieniając je w słabiutkie trzaski i włączył nadajnik.

— Jest pan na antenie, panie kapitanie — powiedział.

— To mówi kapitan Greylorn, statek UNACV *Galahad*; uprzejmie prosimy o identyfikację.

Powtórzyłem swoją wiadomość powoli, kilkanaście razy. Przyszło mi do głowy, że był to pierwszy znany przypadek w historii, kiedy człowiek zwracał się do innej niż ludzka istoty inteligentnej. To ostatnie było oczywiście tylko przypuszczeniem, ale nie można było interpretować celowych manewrów naszego gościa inaczej niż jako inteligentne działanie.

Sprawdziłem przy pomocy obsady mostka; brak zmian. Nagle stukotanie urwało się, pozostawiając tylko szum fali nośnej.

— Może pan odfiltrować te jęki, Joyce? — zapytałem.

— Nie, panie kapitanie — odpowiedział. — Ta transmisja jest bardzo zaszumiona. Brzmi to tak, jakby ich sprzęt działał nie do końca poprawnie.

Słuchaliśmy więc szumu, czekając. Potem znowu zaczęło się stukotanie.

— Mamy coś innego — powiedział Mannion. — Teraz sygnał zrobił się nieco dłuższy.

Wróciłem na mostek i czekałem na kolejny ruch obcego albo na wiadomość od Manniona. Co pół godziny transmitowałem wezwanie identyfikujące nas, po którym następowała próbka naszego języka. Przesyłałem im to po angielsku, rosyjsku i w standardowej Interlingwie. Nie wiedziałam dlaczego, ale jakoś miałem słabą nadzieję, że będą w stanie coś z tego zrozumieć.

Zostałem na mostku, po zmianie wachty. Kazałem przysłać sobie coś do jedzenia i przespałem się kilka godzin na leżance dyżurnego.

Kiedy nadeszła kolejka Kramera, zastąpił go Fine. Najwyraźniej Kramer wyskoczył z obiegu. W tym momencie nie miałem ochoty drążyć tej sprawy.

Byliśmy w stanie pełnej gotowości przez dwadzieścia jeden godzin, kiedy ponownie zaszumiał głośnik na ścianie.

— Panie kapitanie, tu mówi Mannion. Rozwaliłem to…

— Zaraz tam będę — odparłem i wybiegłem z mostka.

Kiedy wszedłem do Sekcji Łączności, Mannion coś pisał. Zatrzymał swój rejestrator i podał mi kartkę papieru.

— Tyle mam jak dotąd, panie kapitanie — zameldował.

Odczytałem: NAJEŹDŹCO; OBECNOŚĆ MANCJI ROZPOCZĘŁA NADAWANIE.

— To bardzo zniekształcona wersja wczesnej Interlingwy, panie kapitanie — wyjaśnił Mannion. — Po nagraniu komunikatu skompensowałem go, aby wydobyć ten wznoszący się i opadający ton, a następnie odfiltrowałem zakłócenia. Musiałem jeszcze wymyślić parę podmian dźwięku, ale w końcu wychwyciłem treść sygnału. Nadal nie ma to zbyt wielkiego sensu, ale to właśnie nadaje nasz obcy.

— Zastanawiam się, co też myśmy najechali — zauważyłem. — I kim są ci „Obecność Mancji”?

— Znowu w kółko powtarzają tylko ten komunikat — powiedział Mannion. — Nie odpowiadają na nasze wywołania.

— Proszę spróbować przetłumaczyć nasz komunikat na starą Interlingwę, dodając zastosowane przez nich podmiany dźwięków, a następnie wprowadzić do tego tę ich procedurę wznoszenia i opadania tonu — poleciłem. — Może dzięki temu dostaniemy jakąś odpowiedź.

Czekałem, aż Mannion opracuje wiadomość, a następnie nałoży ją na jękliwy wzorzec.

— Niech pan da tyle mocy ile tylko można — powiedziałem. — Jeśli ich odbiorniki są tak kiepskie jak nadajnik, mogą nas po prostu nie słyszeć.

Nadawaliśmy przez pięć minut, a następnie przeszliśmy z powrotem na odbiór i czekaliśmy. Z ich strony zapadła długa cisza, po czym powrócili z długim, bełkotliwym zaśpiewem.

Mannion pracował nad nim przez kilka minut.

— Musieli nas zrozumieć, oto co otrzymałem — oznajmił:

TEN KTÓRY PŁYNIE PRZEZ MORZE MANCJI; JESTEŚMY ŚWIADOMI, ŻE MACIE TEN JĘZYK HANDLOWY. SŁYCHAĆ WAS DALEKO. MAMY TAKI KAPRYS, ŻEBY WAM POBŁAŻAĆ; JESTEŚMY ROZBAWIENI, TYM NA CO SOBIE POZWALACIE; UZNAJEMY WASZE BEZCZELNE ŻĄDANIA.

— Wygląda na to, że znaleźliśmy się na czyimś podwórku — zauważyłem. — Uznają nasze bezczelne żądania, ale nie odpowiadają na nie. — Myślałem przez chwilę. — Proszę wysłać to — poleciłem. — Przelicytujemy ich.

POTĘŻNY STATEK WOJENNY GALAHAD ODRZUCA WASZĄ JURYSDYKCJĘ;

POWIEDZCIE NAM NATURZE WASZEGO KŁOPOTU, A MOŻE ZDECYDUJEMY SIĘ UDZIELIĆ WAM POMOCY.

Mannion uniósł brew.

— To powinno nimi odrobinę wstrząsnąć — stwierdził.

— Bardzo chcieli z nami rozmawiać — odparłem. — Moim zdaniem oznacza to, że czegoś chcą. A ta cała długa gadka brzmi tak, że bluff wydaje się dla nas najlepszą strategią.

— Dlaczego pan chce ich zantagonizować? — spytał Joyce. — Ten statek jest ponad tysiąc razy większy od naszej łajby.

— Joyce, sugerowałbym, aby pozwolił mi pan w ogóle zapomnieć, że znajduje się pan gdzieś w pobliżu — powiedziałem.

Pojękiwanie Mancji zostało dodane do mojej wiadomości i cały sygnał wyemitowano. Kilka chwil później nadeszła odpowiedź:

HONOR MANCJI DYKTUJE WASZ BEZPIECZNY PRZELOT; ROZMOWA JEST MĘCZĄCA; UZNALIŚMY ŻE DOBRZE BĘDZIE POPROSIĆ O PRZESYŁ MOCY ELEKTROSTATYCZNEJ.

— A co to, u diabła, znaczy? — spytałem. — Proszę im powiedzieć, żeby wyluzowali i wytłumaczyli się.

Mannion wypisał proste pytanie i wysłał je. Znowu czekaliśmy na odpowiedź. Nadeszła w jednym długim, pokręconym akapicie stwierdzającym, że Mancji uważają kąpiele elektrostatyczne za zabawne, oraz że „krystalizacja" opróżniła ich zbiorniki. Chcieli od nas przepływu elektronów, aby uzupełnić swoje zapasy.

— Zdaje się, że oni mówią o zwykłym prądzie elektrycznym, panie kapitanie — zauważył Mannion. — Chcą żeby naładować im baterie.

— Wyglądają jakby mieli takie ilości energii, że mogliby rozpalić gwiazdę — odparłem. — Dlaczego nie wygenerują własnego prądu? Spytaj ich o to; i dowiedz się skąd znają Interlingwę.

Mannion ponownie wysłał do nich wiadomość; odpowiedź nie wracała przez dłuższy czas. Wreszcie ją otrzymaliśmy:

MANCJI NIE STOSUJĄ MASYWNEGO URZĄDZENIA GENERUJĄCEGO, TAM GDZIE WYSTARCZY AKUMULATOR. TA PROSTA MOWA HANDLOWA NALEŻY DO STAREJ WIEDZY. WYBRALIŚMY JĄ NA PODSTAWIE SYMBOLI, KTÓRE MIELIŚMY PRZYJEMNOŚĆ WYCZUĆ WE WZORCACH WASZEGO STATKU.

To miało jakiś sens, ale zaintrygowało mnie odniesienie do Interlingwy, jako języka handlowego. Chciałem się dowiedzieć, gdzie się go nauczyli. Jakoś nie potrafiłem oprzeć się przekonaniu, że ten gigant znał naszą kolonię, pomimo faktu że obcy używali bardzo starej wersji naszego języka, wyprzedzającej Omegę o kilka stuleci.

Wysłałem kolejne zapytanie, odpowiedź była gwałtowna ale nic nie zawierała, poza informacją, że Interlingwa była „starą wiedzą".

Następnie Mannion wdał się w długą dyskusję techniczną, uzyskując szczegóły dotyczące rodzaju energii elektrycznej, jakiej potrzebowali.

— Możemy dać im to czego od nas chcą, i to bez trudu, panie kapitanie — oznajmił po półgodzinnej rozmowie. — Potrzebują prądu stałego; 100 wolt, 50 amperów załatwi sprawę.

— Poproś ich, żeby opisali siebie samych — powiedziałem. Zacząłem mieć pewien pomysł.

Mannion wysłał komunikat i otrzymał odpowiedź.

— Oni są mięczakami, panie kapitanie — przekazał. Wyglądał na wstrząśniętego. — Każdy z nich waży około dwóch ton.

— Proszę zapytać ich, co oni jedzą — powiedziałem.

Kiedy Mannion pracował nad wiadomością, odwróciłem się do Joyce'a:

— Proszę sprowadzić mi tutaj Kramera, i to na jednej nodze — poleciłem mu.

Kramer pojawił się w pięć minut później, wyglądając na wyczerpanego i zmiętoszonego. Wpatrywał się we mnie ponuro.

— Zwalniam pana tymczasowo z aresztu, na pańskie słowo, panie majorze — oznajmiłem mu. — Chciałbym, żeby przyjrzał się pan odpowiedzi na naszą ostatnią transmisję i powiedział mi wszystko co pan na ten temat myśli.

— Dlaczego ja? — zaprotestował Kramer. — Nie wiem, co się tutaj dzieje.

Nie odpowiedziałem mu.

Nastąpiło długie, pełne napięcia pół godziny oczekiwania, zanim Mannion odebrał i przetworzył odpowiedź, która nadeszła w kolejnej serii nosowych pojękiwań. Wręczył mi ją.

Tak jak miałem nadzieję, komunikat, po wstępnym recitalu zapewnień o obojętności Mancji na biologiczne procesy pokarmowe, wyrecytował listę standardowych symboli biochemicznych.

— Czy damy radę jeść to coś? — spytałem Kramera, podając mu kartkę.

Przyjrzał się jej, i w jego odpowiedzi ponownie zaczęły się pojawiać zwykłe aroganckie tony.

— Nie wiem, o co chodzi w tych kwiecistych ozdobnikach, ale symbole odnoszą się do zwykłych białek, tłuszczy, węglowodanów, witamin i biominerałów — oświadczył. — Co to jest, jakaś gra?

— No dobrze, panie Mannion — powiedziałem. Próbowałem powstrzymać podniecenie. — Proszę ich spytać, czy mają na pokładzie świeże źródła tych substancji.

Odpowiedź była szybka; mieli.

— Niech pan im powie, że wymienimy energię elektryczną na dostawę tych produktów żywnościowych. Proszę powiedzieć, że chcemy próbki co najmniej pół tuzina tych naturalnych substancji.

Ponownie Mannion zakodował i wysłał wiadomość, odebrał ją i przetłumaczył, wysłał ponownie.

— Zgadzają się, panie kapitanie — powiedział w końcu. — Chcą, abyśmy wystrzelili przewód energetyczny na odległość mniej więcej mili; oni też podejdą bliżej i wystrzelą pojemnik z próbkami, z umieszczoną na nim flarą. Wtedy każdy będzie mógł sprawdzić towar tego drugiego.

— W porządku — zgodziłem się. — Możemy użyć zwykłego kabla naziemnego; załóżcie na niego światło naprowadzające i wyrzucie go, jak tylko znajdą się blisko nas.

— Będziemy musieli podłączyć do niego kilka dodatkowych kawałków — zauważył Mannion.

— Niech się pan tym zajmie, Mannion — poleciłem. — I proszę wysłać dwu z pańskich ludzi żeby podjęli nasz ładunek zwrotny. — To nie należało do zadań działu łączności, ale chciałem żeby zajął się tym człowiek któremu mogłem zaufać.

Wróciłem na mostek i połączyłem się z Bourdonem, poleciłem mu, by uzbroił dwie rakiety penetrujące, zablokował ich namiar na obcego i przełączył pod moją kontrolę. Z kluczem do odpalenia w ręku stałem koło

ekranu televideo i wypatrywałem najmniejszych oznak zdrady. Statek obcych poruszył się, zbliżył do nas, i zatrzymał się, wypełniając cały ekran.

Ludzie Manniona zameldowali się z zewnątrz. Zobaczyłem oddalającą się czerwoną kropkę końca naszego przewodu energetycznego, a następnie żółty punkt, który zaświecił się na burcie ogromnego statku w kolorze jodyny, zajmującego cały ekran.

Ze statku kosmitów nie wyłoniło się nic więcej. Czerwone światełko naprowadzające dryfowało na tle powierzchni sfery obcych. Mannion zgłosił wysunięcie sześciu tysięcy stóp kabla, zanim światełko nagle znikło.

— Panie kapitanie — zameldował Mannion, — pobierają energię.

— O.K. — powiedziałem. — Proszę pozwolić im pobrać próbkę, a następnie zamknąć dopływ mocy.

Czekałem, obserwując uważnie, aż Mannion przekazał, że pojemnik znalazł się w środku.

— Kramer — poleciłem. — Niech pan przeprowadzi szybki test próbek w tym pojemniku.

Kramer coraz bardziej odzyskiwał swoją zuchwałość.

— Będzie pan musiał być nieco bardziej precyzyjny — oznajmił. — Jaki rodzaj analizy ma pan na myśli? Chce pan pełny...

— Chcę dowiedzieć się tylko jednej rzeczy, panie Kramer — powiedziałem. — Czy jesteśmy w stanie przyswajać sobie te substancje, tak lub nie. Jeśli nie ma pan ochoty na współpracę, przywiążę pana do własnej koi i każę je panu wstrzyknąć. Twierdzi pan, że jest oficerem medycznym, proszę więc zacząć tak się zachowywać.

Odwróciłem się do niego plecami.

Połączył się Mannion.

— Mówią, że energia, którą im zaserwowaliśmy, była „zabawna", panie kapitanie. To chyba oznacza, że jest O.K.

— W ciągu kilku minut powiadomię pana, jak wyglądają ich próbki — odparłem mu.

Kramerowi zabrało pół godziny zanim ponownie się zgłosił.

— Przeprowadziłem prosty test, taki jaki normalnie robię w czasie rutynowej kontroli mesy — zaczął.

Nie był w stanie powstrzymać się przed próbą ustawienia się w świetle reflektorów i odegrania swojej popisowej roli Mądrego Doktora uświadamiającego Bezradnego Pacjenta.

— Tak, czy nie — przerwałem mu.

— Tak, możemy sobie przyswoić większość z nich — odparł ze złością. — Było sześć próbek. Dwie były to substancje żelatynowe, nieodżywcze. Trzy były podobne do roślin, duże i włókniste, jedna o wysokiej zawartości jodu; i ostatnia, był to dosyć normalny pokarm mięsny.

— Którą powinniśmy wziąć? — spytałem. — I proszę pamiętać o pańskich zębach, kiedy będzie pan odpowiadał.

— Wysokobiałkowy, ten mięsisty — powiedział. — Oznaczony „6".

Zadzwoniłem do Manniona.

— Proszę im powiedzieć, że w zamian za 1000 KWh energii potrzebujemy 3000 kg próbki szóstej — przekazałem mu.

Mannion odezwał się z powrotem.

— Zgodzili się i to szybko, panie kapitanie. Wydaje się, że dosyć im się ta umowa podoba. Chcą rozmawiać dalej, teraz, kiedy dobili już z nami interesu. Nagrywam ciągle jakąś ich długą tyradę.

— Dobrze — stwierdziłem. — Lepiej przygotujcie się do wysłania ze sześciu ludzi z pchaczem do pomocy, aby ściągnęli do domu nasz bekonik. Może pan też zacząć ponownie wysyłać im energię.

Odwróciłem się do Kramera. Wpatrywał się w obraz wideo.

— Proszę zgłosić się z powrotem do aresztu, w pańskiej kwaterze, Kramer — poleciłem mu. — Wezmę pod uwagę pańskie dzisiejsze zasługi, w czasie pańskiego sądu wojennego.

Kramer uniósł wzrok z paskudnym uśmiechem.

— Nie wiem, z jakimi gadającymi ostrygami pan handluje, ale śmiałbym się jak diabli, gdyby wyparowali pańską cenną krypę, zaraz jak tylko skończą z panem interesy. — I wyszedł.

Mannion ponownie zadzwonił z Działu Łączności.

— Oto ostatnia wiadomość od nich, panie kapitanie — powiedział. — Mówią, że mamy szczęście, że mieli dobre zapasy tego białka na pokładzie. To jedna z ich najbardziej zabawnych potraw. To stworzenie, które odkryli w stanie dzikim i które obecnie jest bardzo rzadkie. Dzikie wymarły i pozostały tylko ich udomowione stada.

— O.K. mamy więc szczęście — stwierdziłem. — I lepiej żeby jedzenie było dobre, albo zwiększymy natężenie i spalimy im baterie.

— Jest jeszcze więcej — mówił dalej Mannion. — Powiedzieli, że przygotowanie ładunku zajmie im kilka godzin. Chcą, żebyśmy byli rozbawieni.

Nie podobało mi się to opóźnienie, ale dostarczenie im energii też będzie wymagało od nas około 10 godzin, przy tym niewielkim tempie jakiego zażądali. Ponieważ próbka była O.K., zakładałem, że reszta też taka będzie. Usiedliśmy, żeby spokojnie poczekać.

Zostawiłem Claya na mostku i ruszyłem w obchód statku. Spotkanie z kosmitami najwyraźniej zepchnęło wszelkie buntownicze nastroje głęboko w tło. Ludzie byli spokojni i zajęci pracą. Poszedłem do kabiny i przez kilka godzin spałem.

Obudziło mnie wezwanie od Claya, który przekazał mi, że kosmita uwolnił dla nas swój ładunek. Ekipa Manniona wyleciała na miejsce. Zanim wmanewrowali masywny cylinder do luku bagażowego, kosmita odrzucił nasz przewód zasilający.

Połączyłem się z Kramerem i kazałem mu spotkać się z nadchodzącą ekipą oraz otworzyć i sprawdzić ładunek.

Jeśli był taki sam jak wcześniejsza próbka, pomyślałem sobie, to zrobiliśmy wspaniały interes. Dyscyplina szybko poszłaby w górę, gdyby ludzie uznali, że nadal sprzyja nam szczęście.

Potem połączył się Mannion.

— Panie kapitanie — zameldował podekscytowany — myślę, że mogą pojawić się problemy. Czy może pan tutaj wejść?

— Już idę na mostek — panie Mannion — odparłem. — Proszę mówić dalej.

Nastawiłem swój głośnik najciszej jak się dało i słuchałem Manniona, idąc szybko do windy.

— Przekazali nam, żebyśmy obejrzeli niewielki pokaz mocy Mancji. Wysunęli jakieś anteny. Odbieram głośny szum w szczycie naszego pasma odbioru fal krótkich.

Popędziłem windą do góry i kiedy wpadłem na mostek, zawołałem:

— Clay, przygotować się do otwarcia ognia!

Zaraz jak tylko załoga wachtowa zameldowała gotowość, wprowadziłem korekty kursu, żeby ostro odsunąć nas od obcego. Nie wiedziałem, co oni tam mają, ale podobał mi się pomysł zwiększenia przestrzeni jaka była między nami. Moje P-rakiety nadal były uzbrojone i wycelowane.

Zgłosił się Mannion:

— Panie kapitanie, przekazali przed chwilą, że nasz strach jest bardzo zabawny i całkowicie uzasadniony.

Obserwowałem ekran televideo, aby dostrzec pierwszą oznakę zbliżającego się ataku. Nagle cały ekran zrobił się się biały, a następnie zgasł. Miller, który siedział przy skanerze, przeglądając statek kosmiczny obcych z bliskiego zakresu, spadł z fotela, trzymając się za oczy.

— Mój Boże, oślepili mnie! — krzyknął.

Połączył się Mannion:

— Panie kapitanie, moje odbiorniki wybuchły. Myślę, że eksplodowała każda lampa próżniowa w sekcji!

Skoczyłem do bezpośredniego wizjera. Obcy wisiał tam, oddalając się od nas spokojnym łukiem. Nie było śladu niczego, co nas mogło wysadzić nas w powietrze. Trzymałem klucz do odpalenia rakiet, ale go nie nacisnąłem. Powiedziałem Clayowi, żeby zabrał Millera do medyka. Jęczał i cierpiał z bólu.

Kramer zgłosił się z pokładu ładunkowego. Pojemnik był już w środku, pokrywając się szronem. Poleciłem mu żeby zaczekał, a potem wysłał Chilcote, mojego człowieka od demolki, żeby go otworzył. Może to była pułapka w pułapce. Stałem w gotowości przy DVP i czekałem na inne oznaki potęgi Mancjo. Ogólnie zapanował stan potężnego napięcia.

Najwyraźniej obcych jednak usatysfakcjonowało jedno uderzenie tego, cokolwiek by to nie było; ich statek kurczył się w oddali, nie zdradzając żadnych dalszych oznak aktywności.

Po pół godzinie oczekiwania w napięciu i czujności, rozkazałem rozbroić pociski.

Połączyłem się w trybie ogólnym, do wszystkich.

— Marynarze, tu mówi kapitan — oznajmiłem. — Wygląda na to, że nasz pierwszy kontakt z obcą rasą, został zakończony pomyślnie. Ich statek znajduje się obecnie w bezpiecznej odległości trzystu mil od nas i szybko się oddala. Nasze ekrany są przepalone, ale nie odnieśliśmy żadnych prawdziwych uszkodzeń. I mamy na pokładzie zapas świeżej żywności. Teraz wróćmy do naszych spraw. Ta kolonia nie może znajdować się daleko.

To zapewnienie mogło być trochę przedwczesne, ale jeśli zapasy żywności, które dostaliśmy, były trefne, to i tak byliśmy skończeni.

Obserwowaliśmy wizjery bezpośredniej obserwacji, dopóki tamten statek nie zniknął w oddali; potem kontynuowaliśmy to na radarze.

— Porusza się w przeciwnym kierunku od nas, panie kapitanie — poinformował Joyce, — z przyspieszeniem około dwóch gie.

— Krzyżyk na drogę — stwierdził Clay. — Nie lubię mieć do czynienia z uzbrojonymi maniakami.

— Byli nieźle pokręceni, to prawda — zgodziłem się — ale nie mogliśmy natknąć się na nich w lepszej chwili. Szkoda tylko, że nie udało nam się wycisnąć z nich kilku odpowiedzi.

— Tak, panie kapitanie — przyznał Clay. — Teraz, kiedy to wszystko już się skończyło, mnie samemu zaczyna przychodzić do głowy wiele pytań.

Zamruczał głośnik. Usłyszałem coś, co zabrzmiało jak jakieś ochrypłe dyszenie. Spojrzałem na lampkę kontrolną. Był to włączony mikrofon na pokładzie ładunkowym.

Połączyłem się z nim.

— Jeśli ma pan coś do powiedzenia, panie Chilcote, proszę mówić — powiedziałem.

Nagle ktoś zaczął krzyczeć do mikrofonu, zupełnie niespójnie. Wyłapałem tylko pojedyncze słowa i przekleństwa. Potem głos Chilcote'a:

— Panie kapitanie — powiedział. — Panie kapitanie, proszę tutaj szybko przyjść.

Rozległ się głośny stukot, jakiś hałas, a potem tylko szum mikrofonu.

— Przejmuje pan statek, Clay — rzuciłem szybko i ruszyłem pełnym biegiem z powrotem na pokład ładunkowy.

Ludzie wypełniali cały korytarz, zadając pytania, kotłując się. Przepchnąłem się, znalazłem Kramera otoczonego przez marynarzy i wrzeszczącego w panice.

— Zamknij się! — krzyknąłem. — Kramer, jaki jest pański raport?

Chilcote przeszedł koło mnie, blady jak kreda. Przepchnęłam się do Kramera.

— Proszę się opanować i powiedzieć co się tutaj stało, Kramer! — powiedziałem ostro. — Kto wszczął to zamieszanie?

Kramer przestał wrzeszczeć i stał, patrząc na mnie i dysząc. Stłoczeni dokoła ludzie umilkli.

— Dałem panu zadanie do wykonania, majorze — oznajmiłem, — otworzyć pojemnik z ładunkiem. A teraz, proszę zacząć od tego.

— Taaa, panie kapitanie — wykrztusił. — Otworzyliśmy go. Żadnych kłopotów, żadnych pułapek. Wyciągnęliśmy ładunek z pojemnika na podłogę. Była to jedna duża zamrożona masa, owinięta jakąś siatką. Potem zdjęliśmy przykrycie.

— W porządku, niech pan kontynuuje — poleciłem.

— Ten ładunek świeżego mięsa, który dali nam ci goście z gwiazd, składa się z mniej więcej sześciu rodzin istot ludzkich; mężczyzn, kobiet i dzieci. — Kramer mówił teraz do tłumu, coraz głośniej krzycząc. — Te ostatnie powinny być dosyć delikatne, kiedy wydzieli nam pan naszą rację – uncję na tydzień, panie kapitanie.

Ludzie kotłowali się, z szeroko wybałuszonymi oczyma, z otwartymi ustami, gdy przepychałem się przez nich do śluzy ładunkowej. Właz był uchylony, a ze środka wydostawały się do korytarza kłęby białej pary.

Przeszedłem przez właz. W śluzie panował siarczysty mróz. W pobliżu zewnętrznego włazu leżał gruby pojemnik, otoczony białym szronem, w kałuży topniejącego lodu. Przed nim spoczywała na wpół osłonięta masa jego zawartości. Podszedłem bliżej.

Byli zamrożeni razem w jedną, twardą bryłę. Kramer miał rację. Wyglądali tak samo na ludzi, jak ja. Ludzkie ciała, rozebrane, spakowane razem, zamrożone. Odsunąłem lekko przyprószone szronem pokrycie i popatrzyłem na szkliste, białe ciała.

Kramer zawołał nagle z wejścia.

— Znalazł pan swoich kolonistów, panie kapitanie. Teraz, kiedy pańska ciekawość została zaspokojona, możemy chyba wracać tam gdzie nasze miejsce. Tu, w kosmosie, człowiek jest tylko oswojoną odmianą bydła. Mieliśmy szczęście, iż nie wiedzieli, że należymy do tego samego rodzaju, inaczej sami leżelibyśmy w tej chwili już w ich szafach z żywnością. A teraz, ruszajmy z powrotem do domu. Ludzie nie przyjmą w odpowiedzi pańskiego „nie”!

Pochyliłem się niżej, przyglądając się trupom.

— Proszę tu podejść, Kramer! — zawołałem. — Chcę panu coś pokazać.

— Widziałem już wszystko, co można było tam zobaczyć — odparł Kramer. — Nie chcemy tracić czasu; chcemy zmienić kurs od razu, natychmiast.

Podszedłem z powrotem do wejścia i kiedy Kramer cofał się, aby pozwolić mi przejść jako pierwszemu przez właz, uderzyłem go z całej siły w usta. Jego głowa trzasnęła w oszronioną ścianę. Potem wypadł na zewnątrz, do korytarza.

Przeszedłem nad nim.

— Podnieść go i umieścić w brygu — powiedziałem.

Ludzie w korytarzu cofnęli się, pomrukując. Kiedy ciągnęli Kramera na stojąco, przeszedłem między nimi i ruszyłem dalej, nie biegnąc, ale także

nie tracąc czasu, w stronę mostka. Teraz jeden zły ruch z mojej strony i całe ich przerażenie i strach rozładują się w wybuchu zamieszek, których pierwszym aktem byłoby rozerwanie mnie na kawałki.

Płynąłem na fali szoku. Kramer zapewnił mi dywersję, której potrzebowałem. Teraz usłyszałem za sobą narastające odgłosy wzbierającej przemocy.

Nie byłem ani o chwilę zbyt szybki. W chwili gdy zamykały się drzwi windy, na końcu korytarza błysnął igłowiec. Usłyszałem, jak mały pocisk odbija się rykoszetem od szybu windy.

Wjechałem na górę, wysiadłem na mostku i zablokowałem windę. Połączyłem się z Bourdonem i ku swej uldze otrzymałem natychmiastową odpowiedź. Panika nie dotarła jeszcze do sekcji rakietowej.

— Bourdon, niech pan uzbroi wszystkie baterie i weźmie namiar na statek tych Mancji — rozkazałem. — I to super błyskawicznie.

Odwróciłem się do Claya.

— Przejmuję dowodzenie, panie Clay — powiedziałem. — Proszę zmienić kurs, aby przeciąć drogę naszemu niedawnemu towarzyszowi, przy dwu i pół gie.

Clay wyglądał na zaskoczonego, ale tylko potwierdził:

— Tak jest, panie kapitanie.

Wybrałem tryb ogólnego obwieszczenia.

— Tu mówi kapitan — powiedziałem. — Stan gotowości, wszyscy członkowie załogi do wolnych uprzęży antyprzeciążeniowych. Lecimy za naszym Wielkim Bratem. Znajdujemy się obecnie w stanie bezpośrednich działań przeciwko nieprzyjacielowi i począwszy od tej chwili zaczynam sobie zapamiętywać wasze zachowanie. Mieliście, panowie, długi okres działania na pół gwizdka; teraz to już koniec. Wszystkie sekcje, zameldować się.

Sekcje meldowały się jedna po drugiej, wszystkie oprócz medycznej i administracyjnej. No cóż, te mogłem sobie na razie odpuścić. Ciążenie teraz zaczęło się powiększać, ponieważ pędziliśmy po dokładnie wytyczonej krzywej, a nasze przyspieszenie szybko rosło.

Kazałem Joyce'owi ustawić stały namiar radarowy na cel i przełączyć stery na autopilota. Potem połączyłem się z Sekcją Zasilania.

— Przejmuję z mostu pełną kontrolę nad sterowaniem mocą — oznajmiłem. — Cały personel ma opuścić siłownię i komorę sterowania energią.

Ludzie nadal słuchali rozkazów, ale to mogło długo nie potrwać. Co najmniej przez najbliższe parę godzin, musiałem mieć pod swoją osobistą kontrolą całość spraw związanych z energią, sterowaniem i uzbrojeniem statku.

Sekcja rakietowa zgłosiła że wszystkie pociski są uzbrojone i zablokowane na cel. Potwierdziłem i rozkazałem ewakuację sekcji. Potem zwróciłem się do Claya i Joyce'a. Obaj byli w tej chwili bardzo zdenerwowani; nie wiedzieli, co gotuje.

— Poruczniku Clay — poleciłem. — Proszę zgłosić się do swoich kwater; Joyce, pan również. Chciałbym pogratulować obu panom wzorowego zachowania w czasie tych ostatnich paru godzin.

Wyszli bez słowa protestu. Zdawałem sobie sprawę, że nie chcieli być zbyt blisko utożsamiani z kapitanem, w razie gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli.

Włączyłem sprawdzenie wideo wnętrza windy, gdy zaczęła wjeżdżać z powrotem na górę. Była pusta. Zablokowałem ją.

W tej chwili szliśmy już pewnie wytyczonym kursem i osiągnęliśmy pełne założone dwa i pół gie. Ledwie mogłem stanąć przy takim przyśpieszeniu, ale miałem jeszcze jedną rzecz do zrobienia, zanim będę mógł sobie pozwolić na przerwę.

Powłócząc nogami, odblokowałem windę i zjechałem na dół. Kiedy otworzyłem drzwi windy, byłem przygotowany na działanie przemocą, ale miałem szczęście. Na korytarzu nie było nikogo. Tylko z oddali słyszałem jakieś krzyki. Przeciągnąłem się do Sekcji Zasilania i wepchnąłem do środka. Szybkie sprawdzenie ustawień urządzeń sterujących pokazało realizację wszystkiego, co rozkazałem. Będąc z powrotem w korytarzu, zatrzasnąłem ciężkie ołowiane drzwi i wstukałem na szyfratorze kodowanie blokady. Teraz tylko ja mogłem je otworzyć bez wysadzenia w powietrze.

Następna w kolejności była Sekcja Sterowania. Tutaj także było pusto i wszystko w najlepszym porządku. Zablokowałem ją i ruszyłem w poprzek statku do Rakiet. Na końcu korytarza pojawiło się dwóch ludzi, którzy przeżywali równie ciężkie chwile, jak ja. Skręciłem w poprzeczny korytarz dokładnie na czas, by uniknąć salwy strzałek z igłowca. Bunt zmienił się już z pewnością w otwarty.

Szedłem dalej, słysząc coraz więcej krzyków. Byłem pewien, że ludzie, których widziałem, zmierzali w kierunku sekcji energetycznej i sterowania. Będą mieli niezłą niespodziankę. Miałem nadzieję, że uda mi się ich pokonać również w wyścigu do pocisków rakietowych.

Kiedy wyszedłem na korytarz B, dwadzieścia stóp od Pocisków, zobaczyłem, że trochę ich nie doceniłem. Trzech mężczyzn, pełznących po podłodze, gorączkowo walczyło w pole wielu gie, by dotrzeć do wejścia przede mną. Ich twarze zlane były potem, purpurowe z wysiłku.

Miałem niewielką przewagę; ale było już za późno abym mógł przed zamknięciem wejścia, sprawdzić co się dzieje w środku. Najlepsze, na co mogłem liczyć, to zablokowanie drzwi, zanim oni do nich dotrą.

Wyciągnąłem swojego Browninga i ruszyłem do drzwi. Zobaczyli mnie i jeden sięgnął po igłowiec.

— Nawet nie próbuj — zawołałem.

Skoncentrowałem się na drzwiach, dotarłem do nich, zablokowałem je, a gdy zamknąłem blokadę, trzasnął igłowiec. Zawirowałem w piruecie i strzeliłem. Marynarz z tyłu zatrzymał się i wycelował, podczas gdy pozostali dwaj nadal zmierzali do przodu. Ten z tyłu rzucił się na podłogę. Pozostała dwójka przez cały czas się zbliżała.

Byłem zmęczony. Chciałem odpocząć.

— Spóźniliście się — powiedziałem. — Nikt prócz kapitana teraz tam nie wejdzie.

Przestałem mówić, ciężko dysząc. Musiałem odpocząć. Dwójka marynarzy nadal do mnie podchodziła. Zastanawiałem się, dlaczego walczą tak rozpaczliwie po tym, jak już zostali pobici. Moje myślenie zdecydowanie zwalniało.

Nagle zdałem sobie sprawę, że mogą mnie zatrzymać, aż przybędzie reszta motłochu. Powłócząc nogami powlokłem się do tyłu w stronę poprzecznego korytarza. Ledwie mi się to udało. Sto stóp za mną w kierunku rufy, zza rogu wyskoczyło dwu ludzi na wózku wahadłowym. Wpadłem do swego schronienia w gradzie ognia igłowców. Jeden z małych pocisków drasnął mi łydkę i poleciał rykoszetem wzdłuż korytarza.

Zawołałem do dwóch, których prześcignąłem:

— Powiedzcie swoim kolegom, że gdyby kiedyś chcieli otworzyć te drzwi, po prostu muszą spotkać się z kapitanem.

Zawahałem się, zastanawiając się, czy wygłosić komunikat ogólny.

— A niech to diabli — zdecydowałem. — Wszyscy już teraz wiedzą, że wybuchł bunt. Nie zaszkodzi mieć w odwodzie jakieś niewielkie ubezpieczenie.

Włączyłam mikrofon.

— Tu mówi kapitan — powiedziałem. — Ten statek znalazł się obecnie w stanie buntu. Wzywam wszystkich lojalnych członków Sił Zbrojnych do aktywnego oporu wobec buntowników i wspierania swojego dowódcy. Wasz statek prowadzi w tej chwili działania przeciwko uzbrojonemu wrogowi. Zapewniam was, że ten bunt się nie powiedzie, a ci, którzy wzięli w nim udział, zostaną potraktowani jako zdrajcy swej służby, domów i własnych rodzin, które teraz na nich polegają.

— Przyspieszamy przy dwóch i pół gie, i jesteśmy zablokowani na kursie kolizyjnym ze statkiem Mancji. Buntownicy nie mogą dostać się na mostek, do sekcji Zasilania, Sterowania oraz Pocisków, ponieważ tylko ja znam kody dostępu. W ten sposób skazani są na porażkę.

— Wracam teraz na mostek, aby bezpośrednio kierować atakiem i zniszczeniem wroga. Jeśli nie uda mi się dotrzeć na mostek, zderzymy się z wrogiem w czasie krótszym niż trzy godziny, a nasze baterie wybuchną.

Teraz mój problem polegał na tym, aby zrealizować moją uwagę na temat powrotu na mostek. Wózek nie podążył za mną, prawdopodobnie obawiając się zasadzki. Skorzystałem z chwili ich wahania, by z największą możliwą szybkością dotrzeć z powrotem do korytarza A. Zatrzymałem się raz, by posłać za siebie grad igieł odbijających się od korytarza i usłyszałem krzyk zza rogu. Te igły mają fantastyczną prędkość i odbijają się od wszystkiego przez długi czas, zanim się zatrzymają.

Koło korytarza położyłem się na podłodze, żeby odpocząć i zaryzykowałem szybkie spojrzenie w obie strony. Przy wejściu do Sekcji Sterowania skupiła się grupa trzech ludzi, wciskając materiał wybuchowy w mikroskopijne pęknięcie wokół nich. To i tak nic im nie mogło dać, ale przynajmniej zajmowało nieco ich uwagę.

Zniknąłem z powrotem w poprzecznym korytarzu i włączyłem mikrofon. Musiałem dać im szansę.

— Tu mówi kapitan — powiedziałem. — Cały personel, który nie znajduje się na swoich stanowiskach bojowych, ostrzegany jest po raz ostatni, aby natychmiast się na nie zgłosić. Od tej chwili każdy człowiek, który zostanie znaleziony z dala od swego stanowiska, zostanie uznany za buntownika i może się spodziewać kary śmierci. To ostatnie ostrzeżenie.

Ludzie w korytarzu słyszeli moje ostrzeżenie, ale jeden rzut oka pokazał, że nie zwracają uwagi na to, co uważali za próżną groźbę. Nie wiedzieli, jak blisko nich jestem.

Wyciągnąłem swój igłowiec, ustawiłem go na ogień ciągły, wystawiłem na korytarz, wycelowałem i wystrzeliłem. Strzelałem, żeby zabić. Cała trójka upadła na podłogę z dala od drzwi, podziurawiona, gdy metalowe ściany zadzwoniły chmurą igieł.

Rozejrzałem się w obie strony, potem wstałem z wysiłkiem i podszedłem do ciał. Rozpoznałem ich jako członków ekipy Sekcji Zasilania Kirschenbauma. Kiedy ruszyłem w kierunku windy na końcu korytarza, zerkając po drodze wstecz, ponownie włączyłem mikrofon.

— Corley, Mac Williams i Reardon zostali zastrzeleni za bunt w obliczu wroga — powiedziałem. — Miejmy nadzieję, że byli to ostatni marynarze zmuszający mnie do wyegzekwowania kary śmierci.

Za mną, na drugim końcu korytarza, znowu pojawili się jacyś ludzie. Rozpłaszczyłem się w drzwiach, strzeliłem w ich stronę igłami i liczyłem na jak najlepszy skutek. Usłyszałem śpiew roju koło mnie, ale nie poczułem żadnych trafień. Buntownicy stanowili większy cel i pomyślałem, że widziałem, jak ktoś upadł. Kiedy wszyscy wycofali się z pola widzenia, zrobiłem kolejne podejście do windy.

Byłem wdzięczny za to, że nie mieli czasu na organizację. Miałem tyły na oku i posyłałem grad igieł za każdym razem, kiedy pokazywał się jakiś człowiek. Co kilka sekund rzucali się aby wystrzelić, ale niezbyt skutecznie. Miałem nad nimi przewagę; walczyłem o powodzenie misji i o swoje życie, nie oglądając się na żadną pomoc; każdy z nich był jednym z tłumu, który nie chciał być celem, każdy wolał pozwolić drugiemu aby to tamten zaryzykował.

Robiłem się trochę zmęczony. Byłem wdzięczny za dodatkową wytrzymałość i szybkość, które dała mi codzienna gimnastyka w polu o wysokim gie; bez tego padłbym już wcześniej; ale i tak byłem już niemal gotów by upaść. Wpatrywałem się w drzwi windy; każdy krok, cal po calu, był niemal nieznośnym wysiłkiem. Kiedy zostało mi tylko kilka stóp, moje kolana poddały się; upadłem na czworaka. Wokół mnie zaśpiewała kolejna seria igieł, a wściekły ból przeszył mi lewe ramię. To mi pomogło. Ból oczyścił mi głowę, pobudził mnie. Wstałem i kuśtykając dopadłem do drzwi.

Teraz kombinacja. Kiedy naciskałem przyciski szyfratora blokady, walczyłem z paraliżującym pragnieniem aby zemdleć; trzy, pięć, dwa, pięć...

Okręciłem się wokół siebie, słysząc jakiś dźwięk. W moją stronę zbliżał się wózek; leżeli na nim płasko ludzie, chronieni przez zderzak. Oparłem się o drzwi windy i wystrzeliłem strumień igieł w ścianę korytarza, kierując je w stronę wózka. Dwóch ludzi stoczyło się z niego, brocząc krwią. Kolejny krzyknął i jego dłoń wysunęła się ponad zderzak. Władowałem w nią igły.

Zastanawiałem się, ilu ludzi było na wózku. Przez cały czas zmierzał w moją stronę. Im był bliżej, tym skuteczniejsze były moje strzały z odbicia. Zastanawiałem się, dlaczego nie odpowiadali mi ogniem. Wtedy jakaś dłoń uniosła się łukiem i na podłogę upadła bomba dławiąca. Podtoczyła mi się po nogi, dopiero zaczynając wyrzucać swoją zawartość. Odkopnąłem ją. Wózek zatrzymał się, cofnął dalej od bomby. Oddzielał mnie od niego teraz strumień brązowego gazu. Wycelowałem z igłowca i odrzuciłem ją jeszcze dalej. Potem odwróciłem się do mojego zamka.

Nagle z tyłu rozległ się szczęk metalu o metal; z bocznego korytarza wysunęła się postać w pancerzu radiacyjnym. Skafander miał własne zasilanie i był odporny na igły. Kiedy postać niezgrabnie podeszła do mnie, z trudem poruszając się w polu wielu gie, posłałem skupiony wystrzał w jej głowę. Igły trafiły, odrzuciły głowę do tyłu. Postać w skafandrze zachwiała się, rozpostarła ramiona, cofnęła i upadła z hukiem. Udało mi się wytrącić go z równowagi, może nawet ogłuszyć.

Usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie jestem w sekwencji kodu; ruszyłem dalej, wpisałem resztę. Pchnąłem; nic. Musiałem stracić rachubę. Zacząłem od nowa.

Usłyszałem, że opancerzony człowiek ponownie wraca. Sztuczka z igłowcem nie zadziała po raz drugi. Pracowałem dalej. Prawie skończyłem sekwencję, kiedy poczułem na ramieniu wzmocniony uścisk człowieka w skafandrze. Wykręciłem się, docisnąłem mu igłowiec do dłoni i wystrzeliłem. Ręka odskoczyła mu do tyłu, i nawet przez skafander usłyszałem trzask nadgarstka. Moja dłoń była również odrętwiała od odrzutu. Drugie ramię skafandra opadło, uderzając mnie w zranioną rękę. Zatoczyłem się od drzwi, oszołomiony bólem.

Wykonany na czas krok w bok, pozwolił mi uniknąć kolejnego potężnego ciosu. Pod ciężarem dwu i pół gie, człowiek w skafandrze przeżywał ciężkie chwile, nawet przy wspomaganiu sterowania. Czułem, że walczę z maszyną a nie z człowiekiem.

Kiedy znowu podszedł do mnie, wycelowałem w jego stopę. Skoncentrowany strumień igieł uderzył, niczym metalowy wąż strażacki odrzucając stopę na bok, i ponownie przewrócił mężczyznę. Zatoczyłem się do drzwi.

W tej chwili jednak zdałem sobie sprawę, że nie mogę ryzykować ich otwarcia; nawet gdybym dostał się do środka windy, nie byłbym w stanie powstrzymać mojego ubranego w skafander napastnika, przed wepchnięciem się do niej razem ze mną. Już był na nogach, pochylając się ku mnie. Musiałem go odciągnąć od drzwi.

Wózek stał nieruchomo. Tłum ludzi trzymał się z dala. Zastanawiałem się, dlaczego nikt z nich nie strzelał; przypuszczam że zdawali sobie sprawę, iż jeśli zginę, nie będzie możliwości wejścia do ważnych obszarów kontrolnych statku; musieli mnie dostać żywcem.

Udało mi się minąć niezdarnego człowieka w pancerzu i ruszyłem korytarzem w stronę wózka. Poruszałem się tak wolno, jak tylko mogłem, ale mimo wszystko uciekałem mu. Ruszył za mną. Dotarłem do wózka; jedno spojrzenie wystarczyło aby stwierdzić, że nie ma tam już nikogo żywego. Leżeli na nim dwaj mężczyźni. Wciągnąłem się na platformę i nacisnąłem dźwignię jazdy do przodu. Wózek przetoczył się lekko obok mężczyzny w skafandrze, uderzając go z boku mocnym ciosem, który znowu posłał go na podłogę. Te upadki, w polu wielu gie, musiały być miażdżące dla jego kości. Tym razem już nie wstał.

Znowu dotarłem do drzwi, zsunąłem się z wózka i sięgnąłem do szyfratora. Żałowałem teraz, że nie użyłem krótszego kodu. Zacząłem wprowadzać go od początku; znowu usłyszałem za sobą jakiś hałas. Kiedy próbowałem się odwrócić, jakiś ogromny ciężar przygniótł mnie do wejścia windy.

Coś rozpłaszczyło mnie i docisnęło do ściany, z piersią wbitą w szyfrator. Napór łamał mi niemalże żebra i ciągle się powiększał. Przekręciłem głowę, ciężko łapiąc oddech. Do drzwi przyciskał mnie łazik. Człowiek, którego uznałem za wyłączonego z akcji, był jednak jeszcze na tyle żywy, żeby napierać na dźwignię z szaleńczą siłą. Próbowałem krzyczeć, starając się mu przypomnieć, że jeśli ja nie otworzę im drzwi, będą bezsilni i nie ocalą statku. Nie mogłem jednak mówić. Poczułem krew w ustach i próbowałem złapać oddech. Nie byłem w stanie. Zemdlałem.

ROZDZIAŁ 2

Wynurzyłem się ze stanu niebytu, stwierdzając że miażdżący moje ciało napór zniknął, ale pozostała po nim czerwona mgiełka bólu. Leżałem na plecach i zobaczyłem siedzących wokół mnie na podłodze jakichś mężczyzn.

Cios z jakiegoś bliżej nieokreślonego miejsca, sprawił, że zadzwoniło mi mocno w głowie. Spróbowałem usiąść. Nie byłem w stanie tego zrobić. Potem nagle koło mnie stał Kramer, wbijając mi w ramię igłę. Sam wyglądał dosyć kiepsko. Twarz miał grubo obandażowaną, a jedno oko było zupełnie fioletowe. Odezwał się stłumionym głosem, z trudem wydobywając słowa spomiędzy zesztywniałych szczęk. Ton tego co mówił, był jednak zdecydowany.

— To pozwoli zachować ci przytomność, żebyś mógł odpowiedzieć na parę pytań — oznajmił. — Najpierw podasz mi kombinacje do zamków, abyśmy mogli przerwać ten samobójczy lot; wtedy może zajmę się twoimi obrażeniami.

Nie odpowiedziałem mu.

— Czas na uniki już się skończył, ty głupi samochwało — powiedział Kramer. Uniósł pięść i zadał mi mocny cios w pierś. Myślę, że przy świadomości utrzymał mnie tylko jego zastrzyk. Przez chwilę nie mogłem oddychać, dopóki Kramer nie podał mi kilku łyków tlenu. Zastanawiałem się, czy był na tyle głupi, aby sobie pomyśleć, że mógłbym mu oddać swój statek.

Po chwili trochę mi się rozjaśniło w głowie. Próbowałem coś powiedzieć. Wydałem z siebie kilka rzężących dźwięków, a potem odnalazłem swój głos.

— Kramer — wykrztusiłem.

Pochylił się nade mną.

— Słucham — odpowiedział.

— Zanieście mnie do windy. Zostawcie mnie koło niej samego. To wasza jedyna szansa.

Wydawało mi się, że wygłosiłem długą przemowę, ale nic się nie stało. Kramer odszedł gdzieś na chwilę, a potem wrócił. Pokazał mi wielki skalpel ze swojego zestawu medycznego.

— Mam zamiar rozpocząć operację od twojej twarzy. Zrobię z ciebie cyrkowe dziwadło. Być może jednak, jeśli zaczniesz mówić wystarczająco szybko, to jeszcze zmienię zdanie.

Zobaczyłem zegarek na jego nadgarstku. Mój umysł pracował bardzo powoli. Miałem problem ze złapaniem powietrza w płuca. Do spotkania z nieprzyjacielem pozostała godzina i dziesięć minut.

Wydawało mi się to dosyć proste. Musiałem wrócić na mostek, zanim dojdzie do zderzenia. Spróbowałem ponownie.

— Mamy tylko godzinę — powiedziałem.

Kramer stracił kontrolę nad sobą. Wbił mi nóż w twarz, piszcząc przez zaciśnięte zęby. Szarpnąłem głową w bok, na tyle mocno że skalpel zgrzytnął mi po kości policzkowej, zamiast rozciąć usta. Prawie tego nie czułem.

— Nie umrzemy, tylko dlatego że byłeś głupi! — wrzasnął Kramer. — Przejąłem władzę; zwolniłem cię z dowodzenia jako niezdolnego do służby. A teraz, otwórz ten statek, albo cię pokroję na plasterki.

Trzymał skalpel pod moim nosem zaciśnięty w drżącej z wściekłości pięści. Chromowane ostrze pokryte było cieniutką warstewką różu.

Ponownie udało mi się wydobyć z siebie głos.

— Zamierzam zniszczyć statek Mancji — powiedziałem. — Zabierz mnie do windy i tam mnie zostaw.

Próbowałem dodać jeszcze kilka słów, ale musiałem przestać mówić i popracować przez chwilę nad oddechem. Kramer gdzieś zniknął.

Zdawałem sobie sprawę, że nie władam w pełni swoimi zmysłami. Czułem się jakbym był opatulony w jakąś miękką poduchę. Spróbowałem się przetoczyć. Z najwyższym trudem, ale udało mi się to zrobić. Usłyszałem że Kramer coś mówi, inni odpowiadali mu, ale zrozumienie słów, wymagałoby ode mnie zbyt wielkiego wysiłku.

Leżałem teraz na twarzy, z głową prawie pod ścianą. Przede mną widać było jakąś czarną linię, to były drzwi. Trochę mi się rozjaśniło w głowie. Tak musiał działać na mnie zastrzyk Kramera. Odwróciłem głowę i zobaczyłem Kramera stojącego teraz razem z pół tuzinem innych ludzi, wszyscy mówili jednocześnie. Najwyraźniej pokaz Kramera i jego niekontrolowany wybuch temperamentu sprawił, że inni się zmartwili. Potrzebowali mnie żywego. A Kramer nigdy nie znosił dobrze krytyki. Wymiana zdań była więc dosyć gwałtowna. Doszło do szamotaniny – i krzyków.

Zobaczyłem, że leżę jakieś dwadzieścia stóp od windy; za daleko. Drzwi przede mną, o ile pamiętałem układ statku, był to składzik gospodarczy, mały i w środku nie było niczego poza koszem na śmieci. Ale miał on od wewnątrz zamek, tak samo jak każde inne pomieszczenie na statku.

Nie przestawałem o tym myśleć; zacząłem próbować się podnosić. Gdybym był w stanie się zastanowić, zdawałbym sobie sprawę z tego, że na mój pierwszy ruch cała siódemka od razu się na mnie rzuci. Skoncentrowałem się najpierw na podciągnięciu rąk pod siebie, abym mógł unieść ciało. Usłyszałem krzyk i odwracając głowę dostrzegłem Kramera machającego na kogoś ręką. Kontynuowałem jednak swój projekt.

Podciągnąłem ręce pod pierś, podniosłem się odrobinę i podłożyłem pod siebie kolano. Poczułem jak zgrzytają mi połamane żebra, ale nie czułem bólu, tylko otaczającą mnie poduchę. Po chwili byłem już na czworaka. Uniosłem do góry głowę, znalazłem wzrokiem klamkę na drzwiach i sprężyłem się w sobie tak bardzo, jak tylko mogłem. Moje palce

uderzyły w nią, drzwi się otworzyły i upadłem na twarz; ale byłem już w połowie w środku. Kolejne szarpnięcie i przeleciałem przez drzwi, kopiąc je, kiedy wylądowałem na podłodze, i natychmiast sięgając ręką do zamka. W chwili, kiedy obróciłem go długim palcem, ktoś walnął w drzwi od zewnątrz, o sekundę za późno.

Było ciemno, a ja leżałem na plecach na podłodze i czułem dziwne krótkie dźgnięcia czegoś, co musiało być skręcającym, potężnym bólem, przeszywającym moją klatkę piersiową i ramiona. Miałem kilka minut na odpoczynek, zanim rozwalą drzwi i dostaną się do środka.

Nie znoszę przegrywać w taki sposób: nie dlatego że zostaliśmy pokonani, ale dlatego że sami się poddaliśmy. Nasza biedna planeta, już nie taka piękna i zielona jak kiedyś, ale znalazła w sobie siłę, aby wysłać nas w kosmos w misji ostatniej nadziei. Ale gdzieś tutaj, samotni i daleko od domu, utraciliśmy naszą odwagę. Sukces był na wyciągnięcie ręki, gdybyśmy tylko dalej go szukali; a nie w panice i szaleństwie niszczyli samych siebie.

Mój umysł błądził gdzieś po manowcach; wyobrażałem sobie siebie na mostku, na wpół wierząc, że tam jestem. Odpoczywałem na koi dyżurnego, a obok mnie stał Clay. Wydawało się, że minęło już wiele czasu… Wtedy przypomniałem sobie, że leżę na podłodze, krwawiąc wewnętrznie, w małym składziku, który wkrótce straci swoje drzwi.

Ktoś jednak naprawdę stał koło mnie.

Nie czułem zbyt wielkiego rozczarowania, że zostałem zwyciężony; zresztą i tak nie liczyłem na nic więcej niż tylko na chwilę wytchnienia. Zastanawiałem się, dlaczego ten człowiek porzucił swoje stanowisko bojowe, aby ukryć się tutaj. Drzwi ciągle były zamknięte. Musiał więc tu siedzieć przez cały czas, tylko nie zauważyłem go, kiedy wpadałem do środka. Stał nade mną w wypapranym kombinezonie i uśmiechał się do mnie szeroko. Uniósł rękę. Ze znaczną obojętnością przyjąłem perspektywę kolejnych ciosów; i tak nie mogłem ich poczuć.

Ręka uniosła się, a mężczyzna wyprostował się jak struna i całkiem sprężyście zasalutował.

— Ponie kapitanie — zameldował się. — Marynorz kosmiczny pierwszyj klosy, Thomas!

Nie miałem ochoty na histeryczny śmiech, wiwatowanie czy cokolwiek innego; po prostu przyjąłem to, co wydarzyło.

— Spocznij, Thomas — udało mi się powiedzieć. — Dlaczego pana nie ma na swoim posterunku służbowym?

Po tej oracji odpłynąłem gdzieś daleko.

Kiedy doszedłem do siebie, Thomas kucał koło mnie.

— Ponie kapitanie, jest pan ranny, co nie? Dziwiłem się, czymu leży pon tu na podłodze, w moim magazynku.

— Draśnięcie — odparłem. Thomas robił coś na mojej klatce piersiowej. To był magazynek Thomasa. Należał do niego. Zastanawiałem się, jak człowiek mógł żyć w takim małym miejscu, tu w dalekim

kosmosie, od czasu do czasu rozmawiając tylko ze sporadycznie pojawiającymi się tutaj odwiedzającymi. Zastanawiałem się, dlaczego nie wysłałem jednego z tych gości po pomoc; przecież z jakiegoś powodu potrzebowałem pomocy…

— Ponie kapitanie przyciongnołem tutaj swoje konwertery, dopiero co wszedłem do środka. Jak długo pon tu leży, ponie kapitanie? — Thomas martwił się o coś.

Bardzo starałem się aby zacząć myśleć. Nie byłem tutaj zbyt długo; tylko kilka minut. Przyszedłem tu odpocząć... I wtedy nagle, wróciła mi ostrość myślenia…

Kimkolwiek Thomas by nie był, najwyraźniej był po mojej stronie, a przynajmniej pozostał neutralny. Nie wydawał się być świadom toczącego się buntu. Zadałem sobie sprawę, że mocno mi obwiązał klatkę piersiową zrobionymi z koszuli pasami; od razu poczułem się lepiej.

— Co pan tu robi, Thomas? — spytałem. — Nie wiecie, że jesteśmy w akcji przeciwko nieprzyjacielskiemu okrętowi?

Thomas wyglądał na zaskoczonego.

— To jest moje stanuwisko służbowe, ponie kapitanie — odparł. — Jestym tychnikiem odzysku odpodów, pirsza klosa, utrzymuje działanie systymu odzyskiwonia.

— Przez cały czas tak tutaj siedzisz? — zdziwiłem się.

— Ni, proszę pona — sprostował mnie Thomas. — Sprawdzom cały system. Momy trzy główne punkty utylizacji i wiele mołych, muszę wszystko utrzymać w działoniu. W przeciwnym razie ten stotek byłby w bordzo złym stanie, ponie kapitanie

— Jak się tutaj dostałeś? — spytałem. Rozejrzałem się po małym pomieszczeniu. Były tu tylko jedne drzwi, a szary kształt konwertera, który rozkładał odpady na pierwiastki składowe do ponownego ich wykorzystania, prawie wypełniał niewielką przestrzeń w środku.

— Wchodze tutoj przyz kanoł, ponie kapitanie — wyjaśnił Thomas. — Cudziennie sprawdzom kanoły. Wie pon, ponie kapitanie — dodał kręcąc głową — w tym systemie jest sporo kiepsko wytyczonych kanołów. Gdybym się tym nie zajmowoł, miołby pon zatkone kanoły. No to chodze przez cały czos po systemie i utrzymuje go w czystości

Skądś znów zaczęła kiełkować nadzieja.

— Dokąd prowadzą te kanały? — zapytałem. Zastanawiałem się, jakim sposobem ten człowiek może ignorować toczący się wokół niego bunt.

— No cóż, ponie kapitanie, jeden prowodzi do mesy; to tyn duży. Kolejny prowodzi do magazynu, a tamtyn na góre, na mostek.

Mój Boże, pomyślałem, mostek.

— Jak one są duże? — zapytałem. — Czy dam radę przez nie przejść?

— Och, josne, ponie kapitanie — powiedział Thomas. — Łatwo nimi chodzić. Ale czy jest pon pewien, że ma pon ochote na inspykcje?

Zacząłem zdawać sobie sprawę, że Thomas nie był geniuszem.

— Mógłbym to zrobić — powiedziałem.

— Ponie kapitanie — powiedział Thomas niepewnym tonem, — to nie mojo sprowa, ale nie sundzi pon, że może lepiej wezwe doktora?

— Thomas — powiedziałem, — może pan nie wie; na pokładzie tego statku toczy się bunt. Prowadzi go właśnie doktor. Chcę się dostać na mostek, w każdy możliwy sposób. Lepiej ruszajmy.

Thomas wyglądał na kompletnie zszokowanego

— Ponie kapitanie, chce pon powiedzieć, że ktoś pona skrzywdził? To znoczy, że nie spodł pon skundś, czy cuś takiego, ale zostoł pon pobity? — Wpatrywał się we mnie z wyrazem niedowierzania i przerażenia.

— Tak to mniej więcej wygląda — odparłem. Udało mi się usiąść. Thomas skoczył do przodu i pomógł mi stanąć na nogi. Potem zobaczyłem, że płacze.

— Ponie kapitanie, może pon na mnie liczyć — oznajmił. — Niech pon mi tylko powi kto to zrobił, a wrzuce go do mojego kunwertera.

Stałem oparty o ścianę, czekając aż przestanie mi się kręcić w głowie. Oddychanie było trudne, ale jeśli będę płytko łapał powietrze, dam sobie radę. Thomas otwierał panel z boku przetwornicy.

— W porzundku. Możymy iść, ponie kapitanie — powiedział. — Teroz nie dzioło.

Przyciąganie dwa i pół gie, nie wydawało mu się specjalnie przeszkadzać. Ja pod jego działaniem ledwie mogłem stać, przytrzymując się. Thomas dostrzegł mój chwiejny chód i podskoczył, żeby mi pomóc. Wsadził mnie do komory konwertera i wskazał otwór w pobliżu jej górnej pokrywy, mniej więcej dwanaście na dwadzieścia cztery cale.

— Tyn jest na mostek, ponie kapitanie — poinformował mnie. — Niech pon idzie pirwszy, ja pójde zo ponem.

Wsunąłem w otwór głowę i ramiona. W środku był gładki metal, bez żadnych uchwytów. Szarpnęłam się, próbując wciągnąć się dalej. Ból przeszył mi pierś.

— Ponie kapitanie, oni tam mocno pracujom nad drzwiomi — powiedział Thomas. — Już od jakiegoś czosu to robiom. Lepiej ruszojmy w droge.

— Lepiej byś mnie trochę popchnął, Thomas — odparłem. Mój głos odbił się pustym echem w kanale.

Po moich słowach, Thomas wcisnął się za mną do komory, unosząc mi nogi i pchając mnie dalej. Wsunąłem się do kanału. Ból nie był już taki paskudny.

— Ponie kapitanie, żyby chodzić po tych przewudach musi pon pełznunć w specjolny sposób — poinstruował mnie Thomas. — Musi pon trzymoć rynce przed sobom rozem, a potem zginoć łokcie. Kiedy łokcie zaprom sie o boki przewudu, musi pon pociongać się do przodu.

Spróbowałem w taki sposób. Szło powoli, ale szło.

— Ponie kapitanie — powiedział zza mnie Thomas. — Zostoło nom jakieś siedym minut, żeby wejść tom na góre. Ustawiłem styrowonie konwertera, żyby uruchomił sie za dziesienć minut. Myśle, że możymy

spokujnie w tym czosie dojść, a przy działajuncym konwerterze nikt zo nomi nie wejdzie. Zablokowołem panel konwertera, tak żeby go nie mogli wyłonczyć.

Ta wiadomość przyśpieszyła moje ruchy. Przy uruchomieniu się konwertera, pierwszym krokiem w cyklu, było opróżnienie przewodów do poziomu niemal idealnej próżni. Gdyby tak się stało, natychmiast byśmy umarli z rozsadzonymi płucami; potem nasze martwe ciała zostałyby zassane do komory i rozłożone na użyteczne surowce. Ruszyłem w szybszym tempie.

Próbowałem jakoś się zorientować gdzie jestem. Kanał biegł równolegle do korytarza. Ciągnął się w tym kierunku przez mniej więcej piętnaście stóp, a potem skręcał w górę, ponieważ mostek znajdował się kolejne piętnaście stóp powyżej tego poziomu. Posunąłem się i poczułem, że przewód zaczyna zmieniać kierunek do góry.

— Ponie kapitanie, tutoj musi pon sie przekryncić na plecy — polecił Thomas. — Za tym skryntem, zaczyna sie rozszerzoć.

Udało mi się przekręcić. Thomas pomagał mi, popychając moje stopy. Kiedy doszedłem do niemal pionowej pozycji, poczułem pod ręką metalowy pręt. Odetchnąłem z ulgą. Spodziewałem się już, że będę musiał pokonać ten ostatni odcinek tak, jak robi to alpinista w kominie skalnym, zapierając się plecami o jedną ścianę i stopami o drugą.

Podciągnąłem się na pręcie i drugą ręką znalazłem następny. Thomas pode mną, popchnął mnie do góry. Sięgnąłem po omacku i dosięgnąłem do kolejnego, potem jeszcze jednego. Pomagał mi nadal wyczuwalny niewielki skos kanału. W końcu moje stopy również znalazły się na prętach. Uczepiłem się ich, ciężko dysząc. Gorąco w kanale było straszliwe. Potem nagle podjechałem do góry. To było pchnięcie od Kramera.

W górze widziałem już niewyraźnie koniec kanału, w słabym świetle wpadającym przez otwarte drzwi komory w pomieszczeniu gospodarczym. Pamiętałem już, w którym miejscu na mostku znajdował się wlot śmietnika; był on zainstalowany w malutkim aneksie zawierającym koję i niewielką kuchenkę, do użytku przez oficera dyżurnego, podczas długich wacht na mostku

Dotarłem do górnego krańca kanału i pchnąłem osłonę wlotu. Odchyliła się bez trudu. Widać było spod niej skraj stołu na mapy, a za nim ciemny ekran radaru. Wysunąłem ręce przez otwór i częściowo wyciągnąłem się na zewnątrz. Niemal zemdlałem od ukłucia bólu w żebrach, kiedy cały ciężar mojego ciała spoczął na klatce piersiowej. Szumiało mi w głowie. Dolatujące z dołu światło nagle zgasło. Usłyszałem stłumiony trzask; potem rozległ się głośny szum, odbijający się echem w kanale.

— Ponie kapitanie, instalocja się zamknęła i zaczeła wypumpowywoć powitrze — spokojnie wyjaśnił Thomas. — Momy mniej wincyj pół minuty.

Zacisnąłem mocno zęby i znowu się podciągnąłem. Thomas pode mną, spokojnie czekał. Teraz nie mógł mi pomóc. Złapałem rękoma za krawędź

grodzi i pociągnąłem. Powietrze ze świstem owiewało mi twarz. Papiery na stole z mapami zaczęły się unosić. Gorączkowo wykręcałem swoje ciało, odpychając się od chwytu, walcząc z ssącym strumieniem powietrza. Upadłem na podłogę w pomieszczeniu, pokrywa wlotu zatrzasnęła się za mną. Zatoczyłem się, stanąłem na nogach. Podważyłem pokrywę, ale nie mogłem jej otworzyć pod ciśnieniem. Po chwili poruszyła się, i z otworu wyłoniła się ręka Thomasa. Metalowa krawędź wbiła się w mocno ciało, zaczęła mu płynąć krew, ale pokrywa była już uchylona pół cala. Dotarłem do stołu z mapami, prawie przewracając się na swych ołowianych nogach, chwyciłem krótką, grubą ekierkę i podsunąłem ją pod osłonę. Po ruszeniu pokrywy, dalej już poszło łatwo. W otworze pojawiło się oblicze Thomasa, ściągnięte i blade, oczy miał zamknięte osłaniając je przed kurzem niesionym mu w twarz przez strumień powietrza. Przeciągnął ramiona i wysunął się nieco bardziej. Po chwili wyszedł z kanału zupełnie.

Wytrąciłem ekierkę uderzeniem pięści i osłona zamknęła się z hukiem. Potem ześlizgnąłem się na podłogę, nie do końca tracąc przytomność, ale straszliwie potrzebując chwili odpoczynku. Thomas przyniósł kołdrę z koi oficera wachtowego i ułożył mnie wygodnie na podłodze.

— Thomas — powiedziałem — kiedy pomyślę sobie o tym, co powiedzą inspektorzy bezpieczeństwa, którzy zatwierdzili plany tego urządzenia, kiedy zwrócę ich uwagę na nasze malutkie tylne wejście, to sprawia, że było to prawie warte tego co przeszliśmy.

— Tak jest, ponie kapitanie — odparł Thomas.

Rozłożył się na podłodze i rozglądał się po mostku, przypatrując się nieznanym sobie ekranom, wskaźnikom, tarczom przyrządów i urządzeniom kontrolnym.

Z miejsca, w którym leżałem, widziałem ekran bezpośredniej obserwacji. Nie byłam pewien, ale wydawało mi się, że mały jasny obiekt pośrodku, może być naszym celem. Thomas popatrzył na ciemny ekran radaru i spytał:

— Ponie kapitanie, ten radaraskop nie dzioła?

— Z pewnością, Thomas — odparłem. — Nasi nieznani przyjaciele z odległych gwiazd, zadbali o to zanim nas opuścili.

Byłem zaskoczony, że w ogóle rozpoznał radaroskop.

— Nie miołby pon nic przeciwko tymu, że rzucem okiem? — zapytał

— Proszę bardzo — odpowiedziałem.

Próbowałem wyjaśnić sytuację Thomasowi. Od rozpoczęcia naszego pościgu, upłynęło już dwie godziny i dziesięć minut. Chciałem zbliżyć się co najmniej na dwadzieścia mil, przed wystrzeleniem rakiet; i lepiej będzie jeśli przygotuję nasze pociski przechwytujące w przypadku gdyby Mancji wystrzelili jako pierwsi.

Thomas zdjął osłonę z panelu radaru i zaczął w nim grzebać. Wyciągnął z wnętrza urządzenia spaloną kartę.

— Wyglunda na to, że przecionżyli bezpiecznik — stwierdził Thomas. — Momy jakieś czynści zomienne, ponie kapitanie?

— Tuż obok pana, w szafce — powiedziałem. — Skąd pan wie, jak poruszać się po zestawie radarowym, Thomas?

Thomas uśmiechnął się.

— Kidyś byłem technikiem rodorowym trzyciej klosy, zanim dostałem te robote w utylizocji odpodów — powiedział. — Musiołem zmienić spycjolności, aby zociongnonć sie na tyn rejs.

Przyszło mi do głowy, że trzeba będzie Thomasowi dać solidnego kopa w górę, kiedy to wszystko się skończy.

Poprosiłem go, aby rzucił okiem również na televideo. Zacząłem zdawać sobie sprawę, że Thomas wcale nie był aż taki prosty; on był tylko nieskomplikowany.

— Tutoj wybuchły lompy, ponie kapitanie — powiedział. — Tok jakby ktoś ustowił televideo na wysokie wzmocninie tuż przy słońcu; zostoło przeciunżone. Łatwo moge je naprowić, jeśli bede mioł czeńści zomienne.

Nie miałem czasu aby to przemyśleć. Poczułem, że znów pojawiają się zawroty głowy.

— Thomas — zawołałem, — daj mi znać, kiedy znajdziemy się w odległości dwudziestu mil od celu. — Chciałem mu powiedzieć więcej, ale czułem, że moja świadomość ponownie zaczyna odpływać. — Teraz… — udało mi się powiedzieć — apteczka pierwszej pomocy… zastrzyk…

Nadal słyszałem Thomasa. Odlatywałem gdzieś, wirując, ale słyszałem jego głos.

— Ponie kapitanie, mógłbym tyroz wystrzylić pońskie rokiety, jeśli pon chce — mówił do mnie.

Zmusiłem się, żeby powiedzieć:

— Nie. Czekaj.

Miałem nadzieję, że mnie słyszał.

Przez długi czas unosiłem się w dziwnym stanie pomiędzy śpiączką, a świadomością. Środki, które dał mi Kramer, były solidne. Utrzymywały mój umysł w stanie jasności, nawet kiedy zmysły przestały mi funkcjonować. Rozmyślałem o sytuacji na swoim statku.

Zastanawiałem się, co teraz planowali Kramer i jego ludzie; jak się czuli po tym, kiedy pozwolili mi wyślizgnąć się im przez palce. Jedyne, co mogli teraz zrobić, to próbować przedostać się na mostek. W życiu im się to nie uda. Projektanci tego rodzaju statków nie byli nieświadomi zagrożeń związanych z życiem w kosmosie; mostek był niezdobytą fortecą. Niemożliwe było, żeby się na niego wdarli

Domyślam się, że Kramer przechodził teraz dość ciężki okres. Przekonał ludzi, że pędzimy na oślep na pewną zagładę z rąk wszechmocnego okrętu Mancji, a ich kapitan jest skończonym głupcem. Teraz ugrzązł razem z nimi w pułapce paniki, którą sam pomógł rozpętać. Myślałem o tym, że ze sporym prawdopodobieństwem rozerwali go pewnie na strzępy.

Chwiałem się na krawędzi świadomości. Nie było to specjalnie istotne, i tak potrzebowałem odpoczynku. Potem usłyszałem, że woła mnie Thomas.

— Zbliżomy sie, ponie kapitanie — powiedział. — Prosze sie obudzić, ponie kapitanie, zostało już tylko dwodzieścia mil.

— Okej — powiedziałem. Moje ciało przygotowało się do tej chwili i teraz było już gotowe do działania. Czułam igłę w ramieniu. To też pomogło.

— Niech pan mi poda interkom, Thomas — poprosiłem.

Włożył mi mikrofon do ręki. Wprowadziłem komunikat ogólny.

— Tu mówi kapitan — powiedziałem. Starałem się, aby mój głos był jak najbardziej stabilny. — Jesteśmy teraz w odległości dwudziestu jeden mil od wroga. Przygotować się do wystrzelenia rakiet i ewentualnej akcji unikowej. Ekipy kontroli uszkodzeń, stan alarmu. — Przerwałem żeby złapać oddech.

— Załoga, zaraz przechwycimy statek Mancji — dodałem. — Zostały jeszcze dwie mile.

Upuściłem mikrofon i zacząłem szukać klucza do odpalenia rakiet. Thomas mi go podał.

— Ponie kapitanie — powiedział, nachylając się nade mną. — Zauważyłem, że mo pon ustowiony selektor na chemiczne głowice bojowe. Nie chciałby pon, żebym przygotował dla pona plutonowe, co?

— Nie, dziękuję, panie Thomas — powiedziałem. — Chemiczne to właśnie to, czego chcę. Proszę przygotować się i obserwować atak.

Nacisnąłem klawisz odpalenia.

Thomas był przy radaroskopie.

— Pociski poszły, ponie kapitanie. Namierzonie, OK. Wyglonda na to, że wezmom na cel lewom połowe tego hantla.

Znów wziąłem do ręki mikrofon.

— Rakiety zmierzają do celu — powiedziałem. — Uderzą za trzydzieści pięć sekund. Wszystkich pewnie zainteresuje informacja, że uzbrojone są w głowice chemiczne. Do tej pory nie ma śladu działań ofensywnych ani defensywnych ze strony wroga.

Pomyślałem sobie, że wiadomość ta wstrząśnie paroma buntownikami. David nawet nie miał zamiaru użyć przeciwko Goliatowi swojej procy. Ruszył na niego z gołymi rękami. Chciałem ich wystraszyć aby wywołać z ich strony jakąś reakcję. Potrzebowałem kilku wskazówek, co się dzieje pod nami.

I dostałem je. Z głośnika na ścianie dobiegł głos Joyce'a.

— Panie kapitanie, melduje się porucznik Joyce. — Brzmiał jakby był przerażony do szpiku kości i zdesperowany. — Panie kapitanie, bunt został skutecznie stłumiony przez lojalnych członków załogi. Major Kramer został aresztowany. Jesteśmy gotowi do kontynuacji poszukiwań Kolonii Omega. Ale, panie kapitanie... — przerwał, przełknął ślinę. — Prosimy pana o zmianę kursu przed rozpoczęciem jakiegokolwiek efektywnego ataku. Nadal mamy szansę. Może nie będą nam przeszkadzać, kiedy te sztuczne ognie zgasną...

Obserwowałem ekran wizji bezpośredniej. Zerowa sekunda zakończyła się. I na ekranie, czoło lewego dysku statku Mancji zostało na chwilę rozświetlone przez jaskrawą żółtą iskierkę; jedną, a potem drugą. Na ciemnej, metalowej powierzchni pojawiło się ciemne odbarwienie. Rozprzestrzeniło się i wokół niego utworzyła się lekka mgiełka. Teraz można było dostrzec również drobne plamki, oddalające się od statku. Dysk wydłużył się, nieskończenie powoli, rozszerzył się.

— Co się dzieje, ponie kapitanie? — zapytał Thomas. Wpatrywał się w radaroskop z fascynacją. — Wystrzeliwujom zwiodowców, czy co?

— Niech pan popatrzy tutaj, Thomas — powiedziałem. — Statek się rozpada.

Dysk zmienił się obecnie w niewiarygodnie długą elipsę, otoczoną szerokim wachlarzem mniejszych ciał, fragmentów i elementów wnętrza statku. Zaatakowana kula poruszała się w tej chwili zupełnie niezależnie od swej towarzyszki. Obróciła się, ukazując się w naszą stronę jako półksiężyc, a potem obróciła się dalej, oddalając się od swej bliźniaczki, widać było jak bardzo się wydłużyła. Kule oddzieliły się od siebie. Roztrzaskana połowa statku rozpadła się sama na dwie połowy, a te z kolei rozsypały się, rozsiewając szczątki po rozszerzającej się spirali.

— Mój Boże, ponie kapitanie — powiedział Thomas z podziwem. — To najwinkszy pokoz, jaki w życiu widziołem. I wszystko, czego było potrzyba, żyby ich rozwolić, to 200 kilo PBL. To już jest coś.

Ponownie włączyłem mikrofon.

— Tu mówi kapitan — oznajmiłem. — Potrzebuję dziesięciu czteroosobowych patroli gotowych do startu za piętnaście minut. Wrogi statek został wyłączony z działania i znajduje się obecnie w stanie całkowitej destrukcji. Potrzebuję z niego tylko jedną rzecz; jednego żywego jeńca. Wszyscy szefowie sekcji zgłoszą się do mnie na mostek, natychmiast.

— Panie Thomas — poleciłem mu, — proszę zjechać na dół i otworzyć windę dla szefów sekcji. Oto klucz zwalniający dla blokady; wie pan jak się nim posłużyć?

— Jasne, ponie kapitanie; ale czy jest pon pewin, że chce pon wpuścić tutoj chłopców po tym, jak wszyscy rzucili się na pona?

Otworzyłem usta, żeby mu odpowiedzieć, ale mnie uprzedził.

— Proszę mi wyboczyć, że pona o to zapytołem, ponie kapitanie. Do tyj pory ani rozu sie pon nie pomylił.

— W porządku, panie Thomas — odparłem. — Nie będzie już więcej kłopotów.

EPILOG

W przeddzień dwudziestej rocznicy Dnia Zjednoczenia, tłum dostojnych gości wypełnił salę jadalną i rozlał się na tarasy restauracji Star Tower, z której szczytów, położonych na wysokości 5700 stóp ponad plażami, w pogodne dni widoczne były leżące sto mil na południu Florida Keys.

Reporter *Ery* stał obok ogromnego szklanego wejścia, przyglądając się tłumowi, szukając celebrytów, z których mógłby wydobyć soczyste akcenty, pozwalające urozmaicić transmisję dzisiejszych uroczystości.

Po drugiej stronie pomieszczenia, w otoczeniu rozgadanych wielbicieli, stał ambasador Federacji Nowej Terry; korpulentny, siwiejący, jowialny, były oficer marynarki wojennej. Pomniejsza aktoreczka przeszła w bliskiej odległości od niego, patrząc w drugą stronę. Przy barze stał jeden z członków gabinetu i żarliwie dyskutował ze znanym piłkarzem, ignorując grupę pełnych nadziei na rozmowę dziennikarzy oraz fanów.

Facet z Ery, doświadczony dziennikarz, przeszedł obok mocno stłoczonych VIP-ów zebranych w pobliżu centrum sali i zaczął po kolei przyglądać się mniej towarzysko nastawionym biesiadnikom, siedzącym przy słabiej rzucających się w oczy stolikach, po bokach pomieszczenia.

Miał szczęście; jego uwagę zwróciła siwowłosa postać o prostych plecach, w ciemnym cywilnym garniturze, siedząca samotnie przy małym stoliku w alkowie. Przysunął się bliżej, szukając w tłumie miejsca, z którego mógłby wyraźnej ją sobie obejrzeć. Po chwili był już pewien. Miał największy możliwy chwyt dnia dla swoich programów; admirał floty Frederick Greylorn.

Reporter zawahał się; doskonale zdawał sobie sprawę z reputacji admirała i niemal absolutnej ciszy na temat jego legendarnego już rejsu, głośnej podróży *Galahada*. Nie mógł tak po prostu wpaść na admirała i zacząć domagać się odpowiedzi, jak to zwykle bywało w przypadku głodnych rozgłosu polityków i ludzi show-biznesu. Miał szansę zdobyć największą historię tego stulecia; ale musiał go jakoś podejść.

Nie mógł też mieć nadziei na wywarcie presji przez zasypanie pytaniami człowieka takiego jak admirał; nie był to ktoś, kto dałby się zepchnąć do narożnika. Wyczuwał od niego twardość stali.

Nikt inny nie zwrócił uwagi samotnego człowieka. Człowiek z *Ery* przysunął się bliżej, poruszając się niespiesznie, myśląc zawzięcie. Nie było sensu próbować jakiegoś podstępnego podejścia; jego najlepszym wyborem będzie walić prosto z mostu. Nie ma również sensu wahać się i odwlekać sprawę. Zatrzymał się koło stolika.

Admirał patrzył na Zatokę. Odwrócił się i spojrzał na reportera.

Dziennikarz popatrzył mu prosto w oczy.

— Jestem reporterem, panie admirale — powiedział. — Porozmawia pan ze mną?

Admirał skinął głową w kierunku miejsca naprzeciw siebie.
— Proszę siadać — powiedział.
Rozejrzał się po sali. Reporter pochwycił jego spojrzenie.
— Jestem sam, panie admirale — powiedział. — Ja też nie chcę żadnego towarzystwa.
Mówił zupełnie szczerze.

— **Z**apewne, chciałby pan otrzymać odpowiedzi na pewne pytania, prawda? — spytał admirał.
— No cóż; tak, panie admirale — odparł reporter. Zaczął mimochodem włączać swój kieszonkowy rejestrator, ale się powstrzymał. — Czy mogę zarejestrować pańskie wypowiedzi, panie admirale? Szczerość, aż do końca.
— Proszę bardzo — zgodził się admirał.
— A więc, panie admirale — zaczął reporter — terrańska opinia publiczna ma oczywiście…
— Daj spokój z tą paplaniną, synu — przerwał mu łagodnie admirał. — Wiem, jakie ma pan do mnie pytania. Przeczytałem wszystkie pamiętniki członków załogi. Od pewnego czasu ukazują się one w tempie około dwóch pozycji na rok. Miałem swoje własne powody, dla których wcześniej nie chciałem dodawać niczego, do mojego oficjalnego oświadczenia.
Admirał napełnił winem swój kieliszek.
— Przepraszam — powiedział. — Czy dołączy pan do mnie?
Dał ręką znak kelnerowi.
— Poproszę o kolejny kieliszek do wina — polecił.
Przyjrzał się złotemu winu w kieliszku, uniósł je ku światłu.
— Wie pan, wina z Florydy są równie dobre jak te z innych regionów świata — zauważył. — Nie znaczy to, że wina z Kalifornii czy Ohio nie są dobre. Ale to Flora Pinellas, to prawdziwy oryginał, a nie nędzna imitacja reńskiego; i wypada korzystnie w porównaniu z najlepszymi ze starych roczników, szczególnie z ‘87.
Pojawił się nowy kieliszek i kelner go napełnił. Reporter miał na tyle rozumu, by nic nie mówić.

— **P**ierwsze pytanie zazwyczaj brzmi, skąd wiedziałem że będę w stanie pokonać statek Mancji. W końcu był wielki, ogromny. Wisiał nad nami jak góra. Sami Mancji ważyli prawie po dwie tony; lubili siłę ciążenia na poziomie sześciu gie. Wysadzili w powietrze wszystkie nasze urządzenia komunikacyjne, tak tylko dla sportu. Również przemawiali wielkimi słowami. Byliśmy najeźdźcami na ich terytorium. Wzbudzaliśmy w nich rozbawienie. Skąd więc mi przyszło do głowy, że nasz atak będzie dla nich czymś więcej niż tylko kolejnym żartem? To naprawdę ważne pytanie.
Admirał pokręcił głową.

— Odpowiedź jest dosyć prosta. Po pierwsze, osiągali to sześć gie za pomocą prymitywnego układu obracających się hantli. Jedynym powodem użycia tego typu rozwiązania, jak byłby to w stanie powiedzieć nawet student, pierwszych lat kierunku projektowania statków kosmicznych, jest uproszczone tworzenie efektu pola gie przy użyciu siły odśrodkowej. Oczywistym więc było, że nie posiadali generatorów pola grawitacyjnego.

— Dalej, ich metody nadawcze były toporne. Wszystko, co mieli do dyspozycji, to tylko proste, staromodne krótkodystansowe radio, a nawet i ono było pełne zakłóceń i nieregularne w działaniu. A ich odbiorniki były równie kiepskie. Musieliśmy użyć kilowatowych mocy, zanim byli w stanie nas odebrać z odległości 200 mil. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że wszystko to było generowane organicznie; że nie mieli żadnych urządzeń.

Admirał pociągnął wina, marszcząc brwi aby lepiej sobie przypomnieć.

— Byłem już całkowicie przekonany że blefują, kiedy zmieniłem kurs i ruszyłem za nimi. Musiałem utrzymać przyspieszenie na poziomie nie przekraczającym dwóch i pół gie, ponieważ jakoś trzeba było poruszać się po statku. I przy tym przyspieszeniu, doganialiśmy ich. Nie byli w stanie nam uciec. I nie dlatego, że nie potrafili wytrzymać wyższych przyśpieszeń; dla zwykłej wygody używali sześciu gie, niech pan pamięta. Nie, po prostu nie mieli wystarczającej mocy.

Admirał wyjrzał przez okno.

— Proszę dodać do tego fakt, że najwyraźniej nie potrafili wygenerować zwykłego prądu elektrycznego. Przyznaję, że żadna z tych rzeczy nie była rozstrzygająca, ale w końcu, jeżeli się myliłem, to i tak byliśmy ugotowani. Kiedy Thomas powiedział mi o charakterze szkód w naszych systemach radarowych i komunikacyjnych, była to dla mnie kolejna istotna wskazówka. Ten wielki pokaz mocy Mancji był tylko zwykłym wyładowaniem promieniowania w całym spektrum łączności; popalił lampy i wysadził bezpieczniki; nic więcej. Byliśmy z powrotem gotowi do działania w godzinę po zakończeniu ataku na nas.

— Dowody tego wszystkiego były widoczne, ale w gigantycznych rozmiarach jest coś, co powoduje że ludzie zaczynają szczękać zębami. Sam rozmiar nie ma tu zresztą decydującego znaczenia. To raczej działało tak jak blef, którym Sowieci szantażowali resztę świata przez kilka dziesięcioleci w epoce wojen; kwestia że terytorialnie rozciągali się na pół globu. Był to gigantyczny obszar, chociaż w większej części była to głównie zamarznięta pustynia. Kiedy doszło do ostatecznej rozgrywki, nie byli w stanie jej wygrać. Była to jedna wielka lipa.

— No dobrze, następne pytanie brzmi: dlaczego wybrałem głowice chemiczne, zamiast uderzyć w nich wszystkim, co miałem do dyspozycji? To też jest proste. Chciałem zdobyć informacje, a nie dokonać zemsty. Nadal miałem w rezerwie ciężkie argumenty i były one gotowe do użycia gdybym tylko ich potrzebował, ale najpierw musiałem spróbować wziąć ich żywcem. Obrócenie ich w chmurę pary nie zmieniało nic, jeśli chodzi o naszą pozycję. No i miałem szczęście; udało się.

— Określmy to, ehem, zamieszanie, w dolnej części naszego statku wygasło bez śladu, kiedy tylko szefowie Sekcji spojrzeli na ekrany i zdali sobie sprawę, że faktycznie kompletnie zdemolowaliśmy statek Mancji. Dostosowałem prędkość do wraku, a patrole wyruszyły, aby odnaleźć jakiś kawałek ich statku z żywym rozbitkiem w środku. Gdybyśmy nie mieli szczęścia, zajęlibyśmy się jego drugą połową, która nadal była nienaruszona i szybko się stamtąd oddalała. Jednak kiedy poznaliśmy naturę wraku, doznaliśmy prawdziwego szoku.

Admirał uśmiechnął się szeroko.

— Oczywiście dzisiaj każdy już wie wszystko o inteligencji roju Mancji, oraz o historii ich ewolucji. Ale my byliśmy kompletnie zaskoczeni tym, że odnalezione szczątki statku składały się z samych Mancji, dwutonowych ślimaków w ich twardych chitynowych skorupach. Oczywiście wiele komórek zostało rozerwanych przez eksplozje, ale większość z nich po prostu odłączyła się od głównej masy ula, kiedy ten się rozpadł. A więc, to nie był żaden statek, lecz po prostu skupisko komórek przypominające gigantyczny ul pszczeli, oraz zmieszana ze ślimakami, najbardziej cholerna kolekcja łupów, jaką można sobie wyobrazić. Mydło i powidło, wszystko co tylko udało im się ukraść i schować w ulu, w czasie kilkuset lat włóczęgi.

— Patrole sprowadziły ze sobą kilka całych komórek, a Mannion wyszedł w kosmos, aby spróbować nawiązać z nimi kontakt. Niemal w ciemno, odebrał bardzo słabą transmisję na tych samych pasmach, co wcześniej. Komórki rozmawiały między sobą, w swoim własnym języku. Ignorowały Manniona, chociaż jego przekaz musiał dotrzeć do wszystkich, znajdujących się w odległości kilkuset mil. W końcu ściągnęliśmy jednego z nich do śluzy i zaczęliśmy próbować na nim fal o różnych długościach. Potem Kramer wpadł na pomysł umieszczenia na nim kilku elektrod i wpuszczenia mu odrobiny prądu. Oczywiście, uwielbiał prąd stały, ale zaraz jak tylko spróbowaliśmy prądu zmiennego, zmiękła mu rura. Odbyliśmy więc sobie z nim długą pogawędkę i dowiedzieliśmy się wszystkiego, co było nam potrzebne.

— **O**d najbliższej planety granicznej Federacji Nowej Terry dzielił nas czterotygodniowy lot, a stamtąd zabrali mnie na Nową Terrę, na pokładzie jednego ze swych szybkich statków łącznikowych. Resztę już pan wie. Nasza macierzysta planeta była dla Nowych Terran tak samo zaginiona, jak oni dla niej. Powitali nas tak serdecznie, jakby przylecieli do nich, ich właśni przodkowie.

— Większa część mojej załogi, z powodów osobistych, została zwolniona ze służby i osiadła tam na stałe.

— Zadanie uporządkowania Ziemi było dla ich Marynarki Wojennej jedynie drobną operacją. O ile sobie przypominam, podróż powrotna zajęła nam nieco ponad pięć miesięcy, a Czerwony Przypływ został zlikwidowany w ciągu zaledwie czterech tygodni od chwili przybycia ich grupy bojowej. Nie sądzę, żeby zmarnowali choćby jedną chwilę. Jeden

ładunek wybuchowy na komórkę, o wielkości wystarczającej do zniszczenia jądra. Kiedy zabita już została krytyczna liczba komórek, reszta zginęła z dnia na dzień.

— Spod Przypływu wyłoniła się jednak zupełnie inna Ziemia. Wie pan, że zaraza przejęła niemal cały obszar lądowy, z wyjątkiem Ameryki Północnej i pasa Europy Zachodniej, oraz wszystkie morza, na które miała ochotę. Szczególnie skoncentrowała się na obszarach dżungli Ameryki Południowej, Afryki i Azji. Musi pan zdawać sobie sprawę z tego, że w czasach przed Przypływem, obszary te były prawie całkowicie niezdatne do zamieszkania. Nie ma pan pojęcia, co naprawdę oznacza słowo „dżungla". Kiedy Przypływ zginął, rozpadł się na cząsteczki składowe; w rezultacie wszystkie te rozległe żyzne ziemie dżunglowe, zostały teraz pięknie wyrównane i całkowicie oczyszczone z drzew; w dodatku były one pokryte dwudziestoma stopami najbogatszej wierzchniej warstwy gleby, jaką można sobie wyobrazić. Dzięki temu stara Terra mogła stać się tym, czym jest dzisiaj; ogrodem Federacji i jedynym źródłem tego naprawdę oryginalnego terrańskiego jedzenia, za które reszta świata płaci tak fantastyczne ceny.

— Dziwne, jak szybko zapomnieliśmy o przeszłości. Niewielu ludzi pamięta dziś, jak bardzo nienawidziliśmy i baliśmy się Przypływu, w czasach kiedy z nim walczyliśmy. Teraz uważany jest on niemalże za ukryte błogosławieństwo.

Admirał zrobił chwilę przerwy.

— No cóż — powiedział, — myślę że to co do tej pory powiedziałem, daje panu już odpowiedź na pańskie pytania, z ekstra dodatkiem szczypty siermiężnej filozofii.

— **P**anie admirale — powiedział reporter, — przekazał pan społeczeństwu parę faktów, na które długo czekało. A co do pana, panie admirale, to najwspanialsza historia, która mogła uświetnić obchody Dnia Zjednoczenia. Mam jednak jeszcze jedną sprawę, jeśli mógłbym o to zapytać. Czy może mi pan powiedzieć, panie admirale, jak to się stało, że odrzucił pan to, co wydawało się dowodem z pierwszej ręki historii opowiedzianej panu przez Mancji; że w kosmosie to oni byli panami stworzenia, oraz że ludzkość była dla nich tylko oswojonym bydłem?

Admirał westchnął.

— Myślę, że to kolejne dobre pytanie — powiedział. — Ale w tym że ich przejrzałem, nie ma niczego nadprzyrodzonego. Oczywiście, wtedy jeszcze nawet nie podejrzewałem pełni prawdy. W życiu by mi nie przyszło do głowy, że byliśmy ofiarami obecnie dobrze już znanego ale wciąż niewytłumaczalnego, poczucia humoru Mancji, ani tego że byli oni tylko śmieciarzami pasożytującymi na obrzeżach Federacji. Oryginalny statek Omega także ich spotkał i bez trudu przejrzał.

— **W**ięc tak, kiedy ten rój zauważył, że się zbliżamy, Mancji wiedzieli wystarczająco dużo o Nowej Terrze, aby od razu zdać sobie sprawę z tego, że jesteśmy obcymi, pochodzącymi spoza tamtego obszaru. Pasowało to do ich poczucia humoru, aby odegrać przed nami scenę śmiertelnej obrazy i próbować wkręcić nas w jakiś szwindel. Cóż to byłby za śmiech w królestwie ostryg, gdyby udało im się sprzedać Terranom historię, że to Mancji są panującą rasą. Nigdy nawet nie przyszło im do głowy, że możemy być kimś innym niż Terranami; Terranami, którzy nie znają Mancji. I byli wystarczająco sprytni, by użyć starej formy Interlingwy; w miejscu gdzie przecież mogli już kiedyś spotkać ludzi.

— Potem okazało się, że potrzebowaliśmy żywności. Wiedzieli co jadamy, i w tym właśnie miejscu posunęli się zbyt daleko. Mieli w ulu, wśród stosów innych śmieci, parę ludzkich ciał, zabranych kiedyś z jakiegoś wraku, na który natknęli się podczas swoich podróży. Trzymali je gdzieś na statku, jak wszystko inne, co wpadło im w te ich nibynóżki. Zapakowali więc ciała w taki sam sposób, jak widzieli że Terranie magazynują mrożoną żywność, którą im od czasu do czasu dostarczali, a potem wysłali je nam. Kolejny z ich małych żarcików.

— Przypuszczam, że gdyby pan był wyczerpany nerwowo, rozpaczliwie pragnął ze wszystkiego zrezygnować, a poza tym byłby pan strasznie przerażony rozmiarami statku obcych, to całkiem zrozumiałe, że widok ludzkich ciał, wraz z historią, że jest to po prostu dogodny zapas żywności, mógłby panu wydawać się dosyć przekonujący. Ale ja miałem już wcześniej spore wątpliwości co do autentyczności naszych drogich Mancji, a w dodatku kiedy zobaczyłem te ciała, stało się dla mnie całkiem jasne, że byliśmy na świeżym tropie Kolonii Omega. Nie było tam innego miejsca, z którego mogliby pochodzić ci ludzie. Musieliśmy wydobyć jej lokalizację od Mancji.

— Ale, panie admirale — oponował reporter — to prawda, że to byli ludzie i prawdopodobnie musieli mieć jakieś powiązania z kolonią, ale były to nagie trupy ułożone jak stos drewna na opał. Mancji oświadczyli, że to są niewolnicy albo raczej udomowione zwierzęta; do niczego nie mogliby się panu przydać.

— Widzi pan, nie wierzyłem w to — wyjaśnił admirał. — Ponieważ to było ewidentne kłamstwo. Próbowałem pokazać to kilku oficerom, ale obawiam się, że nie zachowywali się wtedy zbyt racjonalnie. Podszedłem do tego stosu i przyjrzałem się dokładnie tym ciałom. Gdyby Kramer obejrzał je równie dokładnie, dostrzegłby to samo, co widziałem ja. To nie były oswojone zwierzęta. To byli cywilizowani ludzie.

— Skąd pan mógł być tego taki pewien, panie admirale? Nie mieli ubrań, żadnych znaków identyfikacyjnych, nic. Dlaczego pan nie uwierzył, że są oni bydłem?

— Ponieważ — odparł admirał, — wszyscy ludzie mieli porządnie obcięte włosy.

KONIEC